

Roman Lis

Monsieur Czytaj Powieść

(fragmenty powieści „Szkielet większej całości”)

SPIS TREŚCI

Od autora...str. 1
Czarna Dziura... str. 2
Pigalle... str. 21
Partia Stworzycieli Nowego Boga... str. 28

Jedną z charakterystycznych właściwości prozy artystycznej jest używanie przez pisarza tzw. fikcji. Pisarskie ego ukrywa się pod stworzonymi postaciami, aby łatwiej mu było przedstawiać poglądy na świat z różnych stron, wykorzystując zasady dialogu i w ogóle polifonii. Stopień jeszcze bardziej wygodny tego oszustwa to przedstawianie literackich postaci, stworzonych przez samego siebie w tym samym utworze [najlepszym przykładem jest « Wielki Inkwizytor » Iwana Karamazowa].

W przypadku niniejszej publikacji najprościej byłoby mi powiedzieć, że autorzy poszczególnych tekstów to moje pseudonimy. Czyli że napisałem powieść w całości złożoną z utworów wymyślonych przez siebie postaci. Ale sprawa nie jest aż tak mechanicznie prosta. Po pierwsze: jestem rzecznikiem prasowym performance'u «Instytut Hegemonii Człowieka», którego jednym z głównych celów jest zalegalizowanie prawa do uzewnętrzniania osób wewnętrznych istoty ludzkiej. Domagamy się uznania, że człowiek ma więcej niż jedno «ja» i powinien wszystkie je uzewnętrzniać w przestrzeni społecznej [czego warunki obecne nie umożliwiają]. Po drugie: wśród dokumentów w/w zdarzenia artystycznego mamy też utwory w całości stworzone przez sztab narracyjny [na kanwie zdarzeń empirycznie realnych].

Krótko mówiąc: karnawalizacja dziejów Europy, trwająca od czasów średniowiecznych (Bachtin), doszła obecnie do stanu rozkwitu, zaś posiadanie tylko jednego «ja» stało się zbyt wielką udręką dla najzdrowszych psychicznie członków naszego społeczeństwa [artystów zwłaszcza]! Psychologia od dawna sygnalizuje, że istnieją w człowieku niezależne centra aksjologiczne, dążące do fenomenalizacji, czyli ujawnienia się [wśród nas] osobników o nowych archetypicznie predyspozycjach, niezbędnych do rychłych misji ludzkości na poziomie kosmicznym.

Pisarze zawsze czerpali z podszeptów swych wewnętrznych legionów, ale też zawsze wcześniej widzieli przyszłość [np. prorok Verne zobaczył lot na Księżyc sto lat wcześniej!], jakkolwiek wielu moralistów i religiantów groziło im palcem, mówiąc, że to diabeł! Nie, to nie diabeł, Europejczyku, to tylko twój brat, chcący się wcielić [to temat-rzeka, kiedyś może wyjaśnię trochę więcej]...

Co zaś do publikowanych tu fragmentów powieści, wydaje mi się też konieczne, żeby wyjaśnić, że utwór ten posiada formę stworzoną tylko na tę jednorazową potrzebę.

Paryż, 23 sierpnia 2019 r.

PS: Przyśnił mi się ongi Dostojewski [wspominałem gdzieś o tym, ale zapomniałem gdzie!] Wypiliśmy brudzia [choć naprawdę trochę się krępowiałem], nagle pomyślałem, żeby go zapytać o Iwana. Na to Fiodor:

— Onż nigdy nie miał ciała! Choć kusił mnie, żebym się nim obwołał! Byłem bliski tego, ale nie chciałem innym robić przykrości!

I widząc, żem zmarkotniał, dodał:

— Tobie też tak radzę: dopuść do głosu, zapisuj co mówią, jeśli uznasz to za ciekawe. Potem innego dopuść... A jeśli znajdziesz odpowiedniego, pozwól mu tobą żyć. A ty mu służ! Chleba mu, oczywiście, dawaj, wina też trochę...

I tu się obudziłem.

A potem przemyślałem rzecz i uznałem, że miał rację z tym Inkwizytorem!

PS(2): Cyfry w nawiasach odnoszą się do moich przypisów, umieszczonych na końcu poszczególnych utworów. (rl)

Roman Y. Kukura

CZARNA DZIURA

rozdział I

napisany na specjalne zamówienie

(„Art-Po”, nr 2, październik 2000, Paryż, ISSN 1640-9418)

MY, Z GWIAZDOZBIORU ŻABY

1

Mój nauczyciel wyzwolił mnie z dobrowolnych więzów zależności ucznia od mistrza 3 stycznia br. Zdarzenie miało uroczysty charakter prywatnego święta, a liturgicznym obyczajom sekty pod tym względem się nie sprzeciwiałem: pozwoliłem sobie założyć durszlak na głowę i ucałować czubek podsuniętego mi ku ustom muchomora z lasów karpackich. Stało się to w mieście Enghien Les Bains pod Paryżem, nad jeziorem o tej samej nazwie, przy ognisku w rozległym ogrodzie, dwa kroki od słynnej ruletki, jedynej legalnej w regionie L’Ile de France. Udział wzięło kilkudziesięciu byłych hipisów, którzy zlecieli się na tę okazję z różnych zakątków Planety (najwięcej z Polski). Złot nie był jednak imprezą zamkniętą i za obecność osób postronnych nie ręcę, a nawet mam wrażenie, że podczas kilkudniowych czczeń Bachusa towarzyszyli nam młodzi Rosjanie, Litwini i Ukraińcy z pobliskiego pensjonatu. Przyznaję się od razu, że dużą część tego dnia spędziłem w pomroce alkoholowej, aby nie dać się zagłaskać na śmierć – chwalono mnie chyba jednak ponad miarę, zaś wynoszenie człowieka pod niebiosa zawsze było mi niesmaczne. A w ogóle pili wszyscy obowiązkowo, ja wówczas już trzeci dzień po czteroletniej pełnej abstynencji, którą przerwałem właśnie na wieść o zbliżającym się awansie.

Od momentu zadurszłakowania mogę mówić w imieniu „Czarnej Dziury” to, co sam uznaję za właściwe. Ze strony czarnodziurców włos mi z głowy nie spadnie, nawet gdybym naszą ideę przedstawiał w jak najgorszym świetle. Jakkolwiek raduje mnie to prawo, to nie chciałbym nigdy z niego korzystać. Gen. Adamowi Pstrągowi – mojemu czcigodnemu nauczycielowi – dziękuję za zaufanie, jakim mnie obdarzył. Oświadczam w przytomności, że żadne pistolety potęg wyższych nie mierzą w moje ja, a słów używam z własnej woli i bez zamiaru manipulowania ich sensami.

Napisałem wprawdzie wyżej, że „Czarna Dziura” jest sektą, podczas gdy w rzeczywistości jest to modelowa wręcz anti-sekta. Użyłem specjalnie słowa „sekta”, którego używa się w Paryżu na określenie podobnych grup, aby zwabić łatwowiernego czytelnika, ale gdyby ktokolwiek w to uwierzył, oświadczam tu oto, że jest dokładnie odwrotnie. Dzięki wspaniałomyślności pisma „Artpo”, które odważyło

się zaprezentować naszą ideę, będę miał wreszcie sposobność udowodnić to tym wszystkim, którzy nas wciąż jeszcze o „kocią wiarę” posądzają.

2

Z gen. Pstrągiem zetknąłem się w 1969 r. w czasie służby w Ludowym Wojsku Polskim. Bliższy kontakt nawiązaliśmy w małej kawiarence przy ul. Grochowskiej, do której zachodziłem na piwo „Porter”, ilekroć byłem w Warszawie (na prowincji był to rzadki przysmak). Niedaleko był słynny akademik „Kic”, w którym odwiedzałem Józefa Kurylaka, obecnie znanego poetę (opowiem o nim kiedyś osobno, bo warto). Józio mieszkał w pokoju 312 wraz z przyjaciółmi – Banglą, Pawianem i Magrzykiem – a tego pamiętnego dnia przebywali tam długie godziny także inni studenci. Gdy żegnałem się z nimi wychodząc, jeden z nich powiedział, że też wychodzi. Miał wygląd „wiecznego studenta”, początki siwizny, już wcześniej zwróciłem uwagę, że mało mówi, a więcej się uśmiecha. Na ulicy zaprosił mnie na piwo, odczułem to jako gest spontaniczny. Poprosiłem go tylko, abyśmy poszli do kawiarenki, w której umówiłem się z żołnierzem, mającym wrócić ze mną do jednostki. Jak widać, gen. Pstrąg nie był wtedy w mundurze, ani w OGÓLE nie był żołnierzem TEGO wojska (ten galimatias powoli będę wyjaśniał), to zaś, że ja sam byłem w mundurze, dodaje nieco pikanterii szpiegowskiej naszemu spotkaniu.

Jeździłem wówczas jako podoficer służby czynnej – najczęściej na Białostocczyznę albo do Warszawy – zawsze w podobnej tajnej misji: miałem odnaleźć żołnierza, który nie wracał na czas z urlopu i przekonać go, że powrót ze mną do jednostki narazi go na TYLKO 21 dni aresztu garnizonowego, natomiast dalsze samowolne urlopowanie na nieuchronny proces sądowy i co najmniej 2 lata za kratkami, a potem reszta służby w karnej kompanii. Najczęściej udawało mi się przekonać oponenta; dawałem na to słowo honoru dowódcy rzeszowskiego Pułku Obrony Terytorialnej z siedzibą w Przemyślu. Płk. Henryk Stawiarczyk nigdy mi wprawdzie oficjalnie prawa do manipulowania swym honorem nie dał, ale było dla nas jasne, że mogę się powołać na jego autorytet frontowca. Mój dowódca wiedział też, że gdyby wbrew obietcom rozkazał odzyskanego żołnierza oddać pod sąd, znalazłbym się w nie lada kłopotcie. Pułk nasz składał się bowiem w większości z żołnierzy, którzy nie mogli ukończyć szkoły podstawowej, ponieważ zbyt wcześnie rozpoczęli życie więzienne. Na „kocówie” by się na pewno nie skończyło, mogliby mnie byli nawet „ożenić z kosą”.

Zawsze potem osobiście zaprowadzałem do aresztu takiego niedoszłego dezertera, którą to czynność bardzo lubiłem z dość prozaicznego powodu: był to ten sam areszt garnizonowy, w którym odsiadywał ongi karę dzielny wojak Szwejk, gdy podpadł por. Dubowi. (Tym Czytelnikom „Artpo”, którzy z jakichś powodów zapomnieli, kto to był por. Dub, przypominam, że chodzi o oficera cesarstwa austro-węgierskiego z czasów I wojny światowej, który nieustannie powtarzał: „Wy mnie jeszcze nie znacie, ale wy mnie jeszcze poznacie!”). Wyobrażałem sobie naiwnie, że jestem wcieleniem tego porucznika, a zdumionemu żołnierzowi wręczałem przed celą tomy powieści Jarosława Haszka ze słowami: „Rozkazuję wam przeczytać tę książkę o nas!” Zawsze przy tym straszyłem nieboraka, że po areszcie przepytam go na okoliczność wrażeń z lektury, ale nigdy tego nie zrobiłem.

3

Mój nowy przyjaciel mówił z akcentem lekko lwowskim, ale gdy zapytałem go skąd pochodzi, odpowiedział, że urodził się w Brazylii, a w Polsce oficjalnie jest studentem, zaś nieoficjalnie poznaje „jakość komunizmu”. Dowiedziawszy się, czym zajmuję się w wojsku, zapragnął natychmiast także znaleźć się w celi uświęconej

pobytem Szwejka. Zanim jeszcze pojawił się mój żołnierz, ubiliśmy interes tyleż humorystyczny, co niebezpieczny: on dobrze mi zapłaci, a ja zamknę go w areszcie garnizonu Przemyśl. Rozumowałem logicznie, że skoro nawet jest szpiegiem, to taka izolacja jego osoby na pewno nie przyczyni się do zdrady tajemnicy państwowej. Gdyby rzecz się wydała, każdy sąd musiałby to uznać za żart, a mnie co najwyżej odesłać do wariatkowa.

W realizacji zamiaru pomógł mi sierż. Tadeusz Piekło, szef życia kulturalnego jednostki, na terenie której mieścił się areszt obsługujący garnizon. W życiu prywatnym był to jeden z najbardziej zauważalnych poetów ówczesnej Rzeszowszczyzny. Przyjaźniliśmy się, przynależąc do tej samej grupy poetyckiej „Zniesienie”, której był prezesem. Gdy dowiedział się, że inny mój przyjaciel chce poznać „jakość emocyjną” celi Szwejka, nie wahał się ani chwili, oddając się nam do dyspozycji. W ustalonym dniu sierż. Piekło zawiadomił sztab naszego pułku OT, że na najbliższą noc jest konieczny do prac nad gazetką ścienną garnizonu kpr. Kukura plus jeden. Byłem na to przygotowany. Zrobiłem zbiórkę swojej drużyny i zapytałem, czy są cierpiący na zazdrość, wyobrażający sobie swoją dziewczynę w pozach zdrady? Wystąpiło paru szeregowców (choroba ta była w armii istną epidemią), z których wybrałem najbardziej podobnego do gen. Pstrąga. Drużynie i cierpiącemu wyjaśniłem, że będziemy obaj całą najbliższą noc wyznawać miłość i wiarę w ustrój komunistyczny, a wiara łagodzi zazdrość. Kiedy drużyna przestała wydawać z siebie odgłosy żab, dodałem w stronę cierpiącego:

– Ale jeśli wiara twoja będzie wielka, jeszcze tej nocy złożysz głowę na jej łonie!

Na ulicy wyjaśniłem ośmieszonemu analfabecie, że naprawdę może pojechać i sprawdzić, jak prowadzi się jego białogłowa, jeśli tylko przysięgnie: „Niech mnie zdradzi, jeśli nie wrócę z tej przepustki!” Żołnierz przysięgę wyrzekł z radością, po czym weszliśmy do bramy, gdzie ubrał się w szaty gen. Pstrąga, ten natomiast przywdział mundur. Otrzymał kasę na taxi, torbę z butelką dobrej gorzały i godną zagrychą; ze łzami w oczach dziękował i na klęczkach obiecywał, że wróci na czas. (Słowa dotrzymał, białogłowa mu się nie hańbiła – dodaję dla lubiących happy-end). My natomiast pojawiliśmy się przed obliczem sierż. Piekły, który dotąd także nie próżnował: dzięki znajomościom z kadrą aresztu opróżnił celę Szwejka, wypożyczając aresztanta do prac nad gazetką. Miał przygotowany zawczasu rozkaz wyjazdu in blanco, teraz zapytał tylko żołnierza, gdzie mieszka jego panienka, wpisał miejscowość i wyjaśnił, że w ramach badań nad obyczajowością może tam pojechać natychmiast. Jakkolwiek badania są ściśle tajne i nie może o nich wiedzieć nawet najbliższy dowódca drużyny, szczegóły oględzin swojej lubej może zachować dla własnej przyjemności, LWP interesuje tylko, czy „złapał na zdradzie, czy nie”. Specjalna taxi czekała nań pod jednostką, o co poeta także zadbał osobiście. Żołnierz z wrażenia skakał pod sufit, chwając komunę za nagłą możliwość ujrzenia swej lubej. Za wszystko oczywiście płacił gen. Pstrąg. (Ten żołnierz także wrócił na czas, a białogłowa mu się nie hańbiła. Panienka mieszkała „pod samym Leskiem” – zapamiętałem słowa piosenki, których użył uszczęśliwiony żołnierz).

Wprowadzenie gen. Pstrąga do celi Szwejka było teraz proste. Sierż. Piekło zadzwonił do dowódcy warty aresztu, że kpr. Kukura odprowadzi zaraz wypożyczonego aresztanta. Tego aresztanta trzeba będzie jednak kpr. Kukurze zwrócić o godzinie porannej, niech się on dobrze wyśpi, bo jest przeznaczony do dalszej pracy nad gazetką. Podmalowawszy siwiznę aresztanta wacikiem maczanym w czarnym atramencie, pojawiłem się niebawem pod celą, gdzie oczekiwał nas dyżurny klucznik. Ze względu na tego ostatniego, zapytałem:

- Aresztancie, a co to macie pod pachą?
- „Przygody dzielnego wójaka Szwejka”, obywatelu kapralu!
- A nie „Kultura” paryska? Pokażcie!

Gen. Pstrąg podał mi książkę, a tym momencie zdrętwiałem od stóp do głów. Zrozumiałem, że nie jest to książka, lecz sztywne pudełko, acz niezwykle lekkie. Otworzyłem okładkę jak wieczko i zdrętwiałem ponownie: na dnie leżał płaski aparat – ni to podsłuchowy, ni fotograficzny. Obok aparatu spoczywało ludzkie ucho z różowego plastiku, u którego dyndał kolczyk: miniaturowa wieża Eiffla. Zamknąłem okładkę i poinformowałem klucznika, że wszystko w porządku. Książkę zwróciłem aresztanowi ze słowami:

– Zamiast czytać o sobie samym, moglibyście się zastanowić nad ciągiem dalszym gazetki!

– Rozkaz, obywatelu kapralu! – odpowiedział gen. Pstrąg, lecz tak dziwnym głosem, że po raz trzeci zdrętwiałem. Ponieważ stał tuż przede mną w drzwiach celi Szwejka, spojrzałem mu mimowolnie w oczy i wtedy po raz pierwszy ujrzałem to, co potem widywałem wiele razy: wzrok stalowy, a nawet jakby nad-stalowy. Zrozumiałem, że spełnię każde żądanie tego człowieka.

Obecnie przyznaję, że był to rodzaj hipnozy, jakiej uległem w tym momencie na okres ponad trzydziestu lat, stając się uczniem Adama na dobre i złe. Ale niczego nie żałuję i każdemu bym życzył podobnego nauczyciela. Zresztą to właśnie po to zacząłem pisać niniejsze wspomnienia, żeby jego nauki ujawnić szerszej publiczności, zawsze łaknącej radosnej nowości. Myślą przewodnią nauk gen. Adama Pstrąga jest bowiem opanowywanie technologii reinkarnacji. Twierdzi on, że należy natychmiast rozpocząć odpowiednie eksperymenty na ludach Europy, zanim nas nie ubiegną inne centra cywilizacyjne Planety (np. Amerykanie czy Chińczycy) i nie wyreinkarnują na początek jakiegoś swego Moa Tse Tunga. Konieczne do początkowych prac laboratorium androgyńskie należałoby uczynić z terenów części Bieszczad, okolic wsi Krywe, poczta Dwernik.

4

Widzę, że przekroczyłem powierzchnię daną mi przez „Artpo”, ubolewam nad tym i przepraszam. Nigdy dotąd nie pisałem powieści w odcinkach „ku pokrzepieniu serc”, zachowałem się jak nieporadny debiutant. Powiem więc krótko: Adam na początek nauczył mnie „śnić na jawie” i „być przytomnym we śnie”. Metoda jego nauki przypominała tę, którą Carlos Castaneda przedstawia w „Naukach Don Huana”, niemniej okazała się równie efektywna. Chodząc co noc spać z odpowiednią opaską uciskową na głowie, zacząłem niebawem mieć sny-wizje, które łączył wspólny motyw. Śnił mi się zawsze sowchoz w podkarpackiej wsi, podobny do tego, w jakim się wychowałem jako dziecko. O tym, że nie może to być ten sam sowchoz, przekonałem się, gdy w jednym ze snów opuściłem wieś i w pobliskim lesie natknąłem się na grupę Indian. Niesamowitości snu dodawał fakt, że w czasoprzestrzeni sowchozu przebywał też kilkuletni chłopczyk, w którym rozpoznałem siebie samego sprzed lat. Nazywał się Yasiu Golasa, a jego rodzice wcale nie byli podobni do moich. Ja sam w tych snach śniłem się sobie jako (pamiętany przeze mnie z dzieciństwa) Pustelnik, wioskowy głupek. Kiedy pierwszy raz rozmawiałem z Yasiem we śnie, przypomniałem sobie, że ja sam też przeżyłem ongi taką rozmowę.

Moje wieloletnie penetracje tego snu pozwoliły potem mocodawcom gen. Pstrąga zrekonstruować rzeczoną wieś na rozległych terenach Amazonii, a mnie w nagrodę pozwolono w niej żyć od czasu do czasu, w postaci Pustelnika, którym się wcześniej

sobie śniłem. Doglądałem w niej prawdziwego Yasia Golasę, wyklonowanego z mego włosa potomka linii zerowej. Wiem, że brzmi to zbyt futurologicznie i PT Czytelnik mógłby teraz podeptać pismo „Artpo” za głoszenie science-fiction, ale naprawdę są rzeczy na niebie i ziemi, których dojść rozumem nie można. Temat ten będę rozwijał w następnym odcinkach, aby przekonać wszystkich niedowiarków.

5

Gen. Pstrąg mieszka na przedmieściach miasta Brasilia w ogromnej willi o kształcie UFO. Ze sztabem „Czarnej Dziury” kontaktuje się najczęściej przez komórkę, udając nowoczesnego śmiertelnika. Osobliwością kontaktu z nim jest to, że do każdego czarnodziurcy zwraca się per „wasza wysokość”, lecz do siebie mówić tak nie pozwala. Jesteśmy dumni, że kieruje nami istota humanoidalna, nieodróżnialna od człowieka, która przybyła z gwiazd, aby nauczyć nas obrony przed Kosmicznymi Ślimakami. Planeta Ziemia otoczona jest obecnie statkami istot przybyłych z głębi galaktyk spiralnych. Kosmiczne Ślimaki mają po cztery, a nawet po sześć rogów. Niektóre ewoluowały tak dalece, że przypominają raczej barana ze skrzyconym hełmkiem między rogami, pozostałością ślimaczej buńczucznej przeszłości. Wielość rogów sprawia, że przeciętny człowiek umiera na sam ich widok. Jak dotąd pojawiają się one tylko we śnie, a przede wszystkim alkoholikom. Polska jest terenem szczególnie przez nie nawiedzanym. Wiem o tym dobrze, bo sam byłem alkoholikiem, stając się nim na rozkaz gen. Pstrąga, aby osobiście doznawać podobnych fenomenów. Diabłów tych widziałem wiele razy, a wszystkie walki, do których doszło, wygrałem. Jednak nigdy bym tego nie dokonał, gdyby nie szkoła gen. Pstrąga. Najlepszą reklamą jego nauk jest to, że ciągle pozostają wśród żywych.

6

W poprzednim numerze „Artpo” red. Mieszko Workowicz opublikował fragment mojej – jak ją nazywa – powieści „Klon”(1), nie ustalając tego wcześniej ze mną. Za powstały galimatias nie odpowiadam. Przede wszystkim: nie jest to powieść, lecz zapisy nagrań przemówień, wygłoszonych podczas zlotu w Enghien Les Bains. Wybrany fragment „Opowieść Yasia Golasy” niczego nie wyjaśnia, co może odstraszyć czytelnika. W dodatku moje nieudane zdjęcie umieszczono w takim miejscu, że można je wziąć za wizerunek red. Mieszka Workowicza. Naprawdę, nie życzę sobie takich żartów na przyszłość, jestem wychowany w innej konwencji towarzyskiej.

7

O takich, co nie wierzą w istnienie gen. Pstrąga, napiszę innym razem. Na pewno jednak nie należy do nich Red. Nacz. miesięcznika „Teczka”, p. Jadwiga Dąbrowska. Jakies dwa lata temu spotkaliśmy się we troje w tabacu przy rue Renard, na tyłach Centrum Sztuki im. Pompidou. Red. Naczelną poprosiła nawet Adama, aby użył swego nazwiska do stopki redakcyjnej, ale nasz mistrz zdecydowanie odmówił. Uszczypliwy „List otwarty do gen. A. Pstrąga”, który Red. Nacz. opublikowała w nr 15 „Teczki”(2), jest też echem tego naszego spotkania. I jak w ogóle można by posądzać poważną kobietę, widywaną na party w Ambasadzie Polskiej bądź Instytucie Polskim, że zachowuje się jak pensjonarka pisząca listy do Sherlocka Holmesa?

Gen. Pstrągowi zdaje się jednak taka sytuacja odpowiadać. Twierdzi, że traktowany jako fikcja, czuje się równie dobrze jak wtedy, gdy obyczajem rycerskich Polaków ucałował w pewnej chwili dłoń Mme Jadwigi Dąbrowskiej w w/w tabacu. Zdradzić tu teraz muszę – jako świadek zdarzenia – że całowaniu dłoni Red. Nacz. „Teczki” towarzyszyły słowa dyszące, które gen. Pstrąg z siebie wydawał:

– My, z gwiazdźbioru Żaby! My, z gwiazdźbioru Żaby!

Red. Dąbrowska wrywała się, a gen. Pstrąg pokrywał jej dłoń drobnymi pocałunkami, szepcząc wciąż powyższe słowa. Wyraźnie nie wymawiał „gwiazdźbioru”, tylko „gwiazdźbioru”. Gdy go wreszcie oderwałem od bezbronnej kobiety, przeprosił nas oboje, tłumacząc, że cierpi na ataki *coup de foudre*. Czy była to pijacka błazenada, czy naturalne zauroczenie Ziemią, nie mnie rozstrzygać. Mogę tylko ubolewać, że naraziłem p. Dąbrowską na kontakt z Pijanym Kosmitą – co czynię niniejszym i więcej do sprawy listu otwartego nie wracajmy.

Osny, 21 IX 46 r.n.e.*

** Używam datowania nowej ery europejskiej, wewnętrznego kalendarza „Czarnej Dziury”. Według gen. Pstrąga r.n.e. zaczęła się końcem sierpnia 1954 roku, gdy plemię Hucutów przeprowadziło w Karpatach pierwszy eksperyment androgyniczny, będący próbą „psychicznego przeszczepu” Żony w Męża (na drugiej półkuli pierwszy koncert dał król rocka, Elvis P.). Pogląd naszego nauczyciela przedstawię szerzej w następujących odcinkach.*

rozdział II

napisany na specjalne zamówienie

(lecz na skutek reakcji na rozdział I nie dopuszczony do druku w „Art-Po”)

TRESOWANA ŻABA ZAZDROSNEGO TRAKTORZYSTY

***Każdy ma swego ślimaka, który go się boi,
i swego zająca, przed którym ucieka!***

Przysłowie żab.

1

Nie szukam kosmicznego rodowodu mego nauczyciela, gen. Adama Pstrąga. Przybysze z gwiazdźbioru Żaby, jeśli są wśród nas, kryją się dobrze w ciałach tubylców. On sam nigdy nie dał mi odczuć, że nie przynależy do rodzaju ludzkiego. Podkreślał natomiast często, że ludzkość jest atakowana od wewnątrz, a więc całą obronę przed Kosmicznymi Ślimakami należy skoncentrować we wszechświatach prywatnych, każdy w swoim. Przez ponad 30 lat naszej znajomości, gen. Pstrąg wprowadził wiele razy dematerializował się przede mną, przybierając następnie postać bądź to konia, bądź psa, tygrysa czy np. kruką, ale zawsze był to dla mnie tylko dowód, że teorię względności opanował w praktyce, zakrzywiając przestrzeń wokół swego ciała w dowolne konfiguracje. (Studiując przez wiele lat traktat „Jogasutry” Patańdzalego, wiedziałem, że już jogini przeszłych tysiącleci dysponowali podobnymi umiejętnościami). Przyznaję, że taki sposób pobierania nauk subtelnych wykazuje pewne zbieżności z rekwizytornią science fiction, ale to akurat nie było dla nas przeszkodą; odwrotnie: pomiędzy utworami tego gatunku piśmiennictwa jest wiele zakamuflowanych relacji z „wglądów wyższych”, które także mogą służyć do prowokowania iluminacji u adeptów. Pamiętam, że podczas zadanej mi lektury powieści „Ubiq” Philipa K. Dicka, doznałem całej serii satori, a sens sanskryckiego terminu *powrotna droga rozwoju świadomości* przestał mnie wreszcie doprowadzać do szału.

– Jakieś nowe trzęsienie mózgu? – zapytał gen. Pstrąg (widząc, że u ucznia „czacha dymi”).

– Gdybyś był, o, mistrzu, pijany w 3d od urodzenia, a ktoś by sprawił, że odzyskałbyś pełną przytomność, to co zrobiłbyś widząc, że wszyscy inni też są w 3d pijani od urodzenia? Nie zapominaj, że żadnemu z nich nie mógłbyś nawet powiedzieć: „Udawaj trzeźwego!”, zanim by sam nie poznał, co to trzeźwość.

– Bałakałbym z tym, który mnie ocucił!

– O nim zapomnij. Mówmy, że jesteś tylko ty i pijani.

– Ocuciłbym pierwszego z brzegu i z nim bym sunął bałak, dociekał przyczyn istnienia!

– Prawdę mówisz. Bo właśnie to robisz ze mną: cucisz mnie w świecie owładniętym przez fikcję. Dziękuję ci, o, mistrzu.

– Ładnie kumkasz! – pochwalił mnie gen. Pstrąg. – Ale jeśli chcesz, żeby wyrosła z ciebie prawdziwa żaba, będziesz musiał jeszcze trochę posiedzieć w zazen!

Lekka wariackość naszego dialogu stała się przyczyną jego zapamiętania. (W związku z „żabą siedzącą w zazen” liczę na poczucie humoru buddystów. Przy okazji informuję, że „Czarna Dziura” nie jest sektą, a każdy nasz gość witany jest słowami: „Pozostań w religii, jaką wyznajesz!”)(3).

2

Tupac Amaru II, księżę Inków, był przywódcą drugiego powstania swego ludu przeciw hiszpańskim najeźdźcom. W rzeczywistości księżę-buntownik nazywał się Jose Gabriel Condorcanqui, a tęczy inkaski sztandar oraz przyjęcie imion świętego w 1572 r. Tupaca Amaru (ostatniego reprezentanta dynastii inca) posłużyły po dwóch wiekach do integracji militarnej narodu. Rebelia zakończyła się najkrwawszym pogromem w historii Inków, licząc od mitycznego założyciela państwa, Manco Capaca. Rodzinę „tęczowego bohatera” konkwistadorzy wycięli niemal w pień.

Nielicznej grupie ocalałych z rzezi współpracowników i krewnych Condorcanquiego udało się jednak zbiec poza granice ówczesnego wicekrólestwa Nowej Kastylii (Peru), unosząc z sobą pokaźną część złota Inków. Wśród uciekinierów znajdowała się inkaska księżniczka o imieniu Uma, jej mąż i ich kilkumiesięczny syn Antonio. W żyłach Umy płynęła w połowie krew polska, była bowiem córką Sebastiana z rodu Berzewiczów, obieżyświata i łowcy przygód, który po swych barwnych włóczęgach doznał coup de foudre na widok indiańskiej arystokratki, a następnie poprosił ją o rękę i legalnie uczynił brzemienną.

Dalsze losy zbiegów i skarbu znane są obecnie dzięki wieloletnim badaniom reportera i pisarza, Aleksandra Rowińskiego, przedstawionym w książce „Pod kłatwą kapłanów”. Pierwszy etap ucieczki prowadził drogą morską do Włoch. Z jednego spośród zachowanych do dziś w archiwach Wenecji tysięcy meldunków tajnych konfidentów sprzed dwustu kilkudziesięciu lat wynika, że o transport kłopotał się osobiście ojciec księżniczki. *Polak Berzewiczy z ludźmi byli na Burano i tam dostali statek* – czytamy w katalogu hiszpańskich kapusiów pod pozycją 642. Inny dowód pisany zaświadcza, że na terenie Europy pościg trwał jednak nadal: w Wenecji zostaje zamordowany mąż Umy. Stąd dalsza ucieczka i staranne zacieranie za sobą śladów. Kierując się na Orawę i Spisz tropiona grupa Inków dotarła wkrótce do Tropsztyna koło Niedzicy. Złoto zostało szczęśliwie ukryte „gdzieś nad Dunajcem”. Odnaleziony w mszale spoczywającym w krakowskim kościele Świętego Krzyża tzw. „testament Inków” nie precyzuje tego miejsca.

Lecz konkwistadorzy mają długie ręce i już w Niedzicy mordują także księżniczkę Umę. Pozostali Indianie „rozpływają się we mgle”, udając prawdopodobnie miejscowych Cyganów. Natomiast najmłodszy z nich, Antonio, zostaje adoptowany

przez krewnych Sebastiana Berzewiczego i wywieziony ukradkiem do Krumlova na Morawach. Odtąd aż do śmierci w 1877 r. nazywa się Wacław Antoni Benesz. Pod koniec życia przekazuje swemu najstarszemu synowi, Ernestowi, dokumenty i pamiątki rodzinne, nakazując mu *nigdy do tej sprawy nie wracać*.

W 1946 r. wnuk Ernesta, Andrzej Benesz, w asyście żołnierzy WOP, wykopuje spod stopni pierwszej bramy górnego zamku w Niedzicy (ukryty tam w 1797 r. przez przybranego ojca Antonia) testament i tubę z indiańskim pismem węzełkowym kipu. Przez całą resztę swego życia człowiek ten usiłuje rozwikłać zagadkę inkaskiego skarbu. W 1976 r. umiera tragicznie w katastrofie samochodowej.

Obecny właściciel zamku w Tropszynie, znany przedsiębiorca, p. Andrzej Witkowicz, świadomy, że trzech radiesteci – nie znając się wzajemnie i działając w różnych czasach – potwierdzili istnienie na jego włościach „czegoś w rodzaju złota” i naszkicowali identyczny układ korytarzy, które doń prowadzą, nakazał zabetonować na trwałe wszystkie wejścia do podziemi. W rozmowie z Aleksandrem Rowińskim powiedział: *Nie jest mi to potrzebne do szczęścia. Nie będę też ukrywał, że swoje postanowienie podjąłem, biorąc pod uwagę klątwę ciążącą nad tymi skarbami i jej skutki.*

Autor „Pod klątwą kapłanów” dodaje od siebie: *Czy to nie bóg Wirakocza pomógł Anglikom w roku 1702 zatopić największy konwój hiszpańskiej floty pod Vigo, razem ze złotem zagarniętym Indianom?... Badacze dziejów, wojskowości, ekonomii, polityki mają wiele odpowiedzi na pytania, dlaczego wspaniała Hiszpania, od początków XVI wieku przez dwa stulecia jedno z najsilniejszych państw na świecie, zaczęła tracić na znaczeniu, rozpadać się, aż zesłała do żałości nędznego w Europie położenia. Niechaj wolno będzie nad tą kwestią – wśród innych – zawiesić też pytanie, **czy aby nie spadła na nią kara za zagrabiane ludom andyjskim skarby, które zostały przeklęte.** W domyśle pozostaje imperatyw, który o tym przesądził. Omija go chyłkiem nauka pisana przez duże N, po cichu tylko przekazują go między sobą badacze dziejów, otwarcie – choć wśród wtajemniczonych – przyznają ludzkie zgłębiający zjawiska niemierzalne ludzkim rozumem i żadną aparaturą. Rabowane skarby tych ziem kapłani i czarownicy zakazali klątwami. Nikomu i nigdy nie dadzą one radości. Ci kapłani-czarownicy potrafili wytwarzać trucizny, które zabijały natychmiast, ale także za kilka dni, kilka tygodni i kilka miesięcy. Oni umieli nie nazwaną siłą poruszać skałami. Oni władali mocą, dzięki której oddając się rozplýwali się we mgłę i powracali, wychodząc z morza, z powietrza.(4)*

3

Wawrzyniec Pstrąg, dziadek mego mistrza, pochodził ze szlacheckiej rodziny polsko-ukraińskiej. Mieszkał i batiarował we Lwowie, udając studenta psychiatrii. Późną wiosną 1914 r. Cyganka wyróżyła mu z ręki, że ożeni się niebawem, ale ponieważ ulegnie chwilowej impotencji, „nigdy nie pozna swej żony”. Kobietę tę uczyni brzemienią dopiero jego własny syn, którego będzie miał daleko za granicą „z Cyganką królewskiego rodu”. Ta wybranka jego syna przypomni mu w przyszłości, jak naprawdę się nazywa, ponieważ na wskutek wojny, w której weźmie udział, straci częściowo pamięć. Dalsza część proroctwa była równie fantastyczna: wnuk Wawrzyńca otrzyma w przyszłości ogromny spadek, który w całości przeznaczy na budowę piramidy w Karpatach Północnych. Ale jeśli tego nie uczyni, czeka go zemsta niebios.

„Cygański bałak” śmieszył Wawrzyńca tylko kilka tygodni. 28 czerwca zostaje zamordowany w Sarajewie arcyksiążę Franciszek Ferdynand, a cesarz Franciszek Józef I wzywa naród austriacki pod broń, ogłaszając mobilizację. Niebawem poddany kpr. Pstrąg wyrusza na wojnę z Serbią. Na peronie w Lembergu [ówczesna nazwa Lwowa – *przyp. rzecz. pras. PSNB*] żegna go poślubiona dzień wcześniej młoda osóbką o smutnych niebieskich oczach. O tym, co stało się między nimi w ciągu ostatnich dni, wiedzą tylko oni oboje; nagłe *coup de foudre* zawiodło ich przed ołtarz i rzuciło na kolana, aby ślubować sobie wierność aż do śmierci. Wawrzyniec nie zdradza się do końca, choć wie, że pierwsza część „tych głodnych komet” przeobraziła się w zdarzenie realne. W chwili, gdy pociąg rusza w stronę Przemyśla, ma na ustach prośbę, której nie wypowiada: „Najdroższa, nie zdradź mnie z mężczyzną z królewskiego rodu!” Absurd tego zdania brzmiałby w ustach impotentą jak żart „eleganta z Łyczakowa” [*przedmieście Lwowa – przyp. rzecz. pras. PSNB*].

Dwadzieścia pięć lat później Carlos Pstrąg spotka tę kobietę w Nowym Jorku. Mimo różnicy wieku (on 24, ona 44) zakochają się w sobie nagle i niespodziewanie (ach, cóż za piękna przypadłość rodzinna! – *przyp. rzecz. pras. PSNB*). Ojciec Adama jest wtedy studentem fizyki na tym samym uniwersytecie, na którym jego wybranka naucza języka hebrajskiego. Rut jest Żydówką, ale w połowie Polką, zaś Carlos pół Inką, ćwierć Polakiem i ćwierć Ukraińcem. Rut wyjechała z Europy zaraz po I wojnie światowej, gdy okazało się, że jej mąż zginął w obronie największej austriackiej fortecy, Twierdzy Przemyśl. Carlos jest synem ubogiej rybaczkii indiańskiej z nad Amazonki i włochoatego Słowianina, który także tę wojnę nieustannie wspomina, a sam siebie nazywa „najdzielniejszym obrońcą Twierdzy Przemyśl”. Rut jest bogata, a Carlos jest biednym stypendystą charytatywnej organizacji pro-indiańskiej. Zaślubiając się sobie nawzajem z obyczajem izraelickim na jednym ze śmietników Nowego Jorku, wyjeżdżają czym prędzej do Brazylii, aby Rut mogła poznać teścia z tropikalnej dżunglii. Nowożeńcy główną część swego miodowego okresu przebywają na amazońskich parowcach, a ich podróż trwa miesiącami. Gdy wreszcie stają oko w oko z naszym lwowskim batialem, Rut jest przy dobrze widocznej nadziei.

Gen. Adam Pstrąg został więc poczęty w pierwszych dniach września 1939 r., a urodził się końcem najbliższego maja, pod znakiem Bliźniąt. „Ale gwiazdy tej konstelacji to dla niepoznaki!” – chciwocze czasem mój nauczyciel i dodaje: „W rzeczywistości jesteśmy z gwiazdozbioru Żaby!” Żarty żartami, ale gdy poważnie policzyć, to etnicznie rzecz biorąc jest Adam ćwierć i pół ćwierci Polakiem, ćwierć Inką, ćwierć Żydem i pół ćwierci Ukraińcem.

4

Sytuacja była tragiczna: Twierdza Przemyśl otoczona przez 280 tysięcy żołnierzy rosyjskich od sześciu miesięcy nie otrzymała zaopatrzenia. Stan amunicji był wprawdzie wciąż zadawalający, ale brakowało leków i żywności. 160 tysięcy osób załogi twierdzy i ponad 40 tysięcy cywilów coraz częściej cierpiało głód.

Komendant gen. Herman Kusmanek kilkakrotnie przeprowadzał próby przedarcia się z okrężenia, ale kończyło się to każdorazowo stratą kilku tysięcy żołnierzy; zwąły trupów na przedpolach Medyki sięgały kilku metrów wysokości. Równocześnie wśród wojska rozprzestrzeniały się psychozy, jakoby Rosjanie dysponowali przejściami podziemnymi, „sięgającymi aż do Lemberga”, a wróg może w każdej chwili pojawić się w mieście od wewnątrz. Lecz jakim cudem, jeśli gród kamiennych lwów był aktualnie w rękach Austrii? Rozstrzelano kilku podoficerów rozsiewających podobne pogłoski, niemniej zbiorowy obłęd wisiał na włosku.

Najgorsze rzeczywiście nastąpiło niebawem: w jednym z zewnętrznych fortów twierdzy, na najniższej kondygnacji, usłyszano „odgłosy maszyn i chrzęsty” idące od dołu. Godzinę później maszyna przegryzła się przez betonową podłogę, a następnie cofnęła się w mrok, ukazując „zejście pod kątem 45 st.”. Przez następne dwa dni nikt w otworze się nie pojawił, a w głębi ziemi trwała normalna cisza grobowa. Wyczerpanych świadków-obszerników tej czarnej dziury gen. Kusmanek izolował na oddziale psychiatrycznym szpitala garnizonu. Na wykonanie zadania specjalnego nakazał podwładnym wyszukać odpowiednią drużynę, tajnie zaprzysiężoną. Los życiowy padł na kpr. Wawrzyńca Pstrąga, któremu pozwolono dobrać sobie Szczepiów i Tońciów ze Lwowa. Dowódca Twierdzy Przemyśl miał tego dnia wysoką gorączkę, ale osobiście pożegnał śmiałków. W ostatnich słowach niemal ich prosił:

– Gdy dotrzecie do Lwowa, nie zdradzajcie, że przybyła do nas jakaś maszyna, w to nikt nie uwierzy! Powiedzcie, że odkryliśmy legendarny podkop!

Tydzień później – 22 marca 1915 roku – gdy o świcie gen. Kusmanek poddał Twierdzę Przemyśl, wysadzając w powietrze wszystkie forty i blokując w ten sposób wejścia do ich podziemi, kpr. Pstrąg został odnaleziony na brzegu Amazonki, w stanie pełnego upojenia alkoholowego, przez Indiankę o imieniu Uma. Podobno przywarła doń nieprzytomna z nagłego szczęścia, szepcząc: „O mój ty Wirakocza!” Dla niej spełniło się w tym momencie inne proroctwo, dotyczące jej rodziny i powtarzane każdej córce od babki prababki. O tej parze swych protoplastów gen. Pstrąg wyraża się z iście młodzieńczą ekspresją:

– Dziadków miałem zajebistych!

5

Przygody kpr. Wawrzyńca Pstrąga w podkopalach podprzemyskich zbyt są fantastyczne, nawet jak na nasze czasy. Wynika z nich, że istnieje pod ziemią odrębna cywilizacja, wiedząca o naszym istnieniu, oczekująca na powrót swoich pobratymców z gwiazd. Przybysze zamierzają równocześnie dokonać cyklicznego „zbioru ludzi”, traktują bowiem nas tak, jak Ziemiańskie kolonię hodowlaną ślimaków. Mamy w większości szansę znaleźć się na ich stołach; szczególnie gustują w rasie białej, którą *en masse* nazywają Francuzami.

Będę się jednak streszczał, żeby nie przekroczyć limitów „Artpo”. Do boga Wirakoczy wrócimy za niedługo. Gen. Pstrąg zobowiązał mnie do wyjaśnienia, że w związku ze skarbem w Niedzicy, nie wnosi żadnych żądań personalnych, a także nie chce być absorbowany tą sprawą przez zainteresowanych, nawet gdyby okazało się, że jego babka była praprawnuczką siostry matki Umy z domu Berzewiczy, na co wskazywałyby tzw. wieść rodzinna. Podczas ucieczki ze skarbem kobieta ta doznała wizji „przybycia Wirakoczy”, a głos spoza niej określił miejsce, gdzie ma się udać i czekać na przybycie Złotowłosego Strażnika Labiryntu. Czarownicy zweryfikowali jej wgląd, uznając, że nie będą ingerować w ten los. Prapraprababka gen. Pstrąga oddzieliła swą rodzinę od grupy uciekinierów i udała się na północny wschód kontynentu. Przekroczywszy granicę Brazylii, osiedliła się tam i zajęła rybołówstwem.

Co do samego przeznaczenia podobnych skarbów, to jak łatwo się domyślić, gen. Pstrąg jest całkowicie za użyciem ich do rozpoczęcia badań nad opanowywaniem technologii reinkarnacji. *Badania będą może trwały tysiące lat, w przyszłości na osobnych planetach-laboratoriach, ale cel ten zostanie kiedyś osiągnięty! Co jeszcze chcecie, żebym mówił?... Poloneza czas zacząć!* – że zacytuję wrywkową wypowiedź.

6

Dwa numery temu red. Mieszko Workowicz zamieścił na łamach „Artpo” moje zdjęcie w kontekście swego artykułu, co sugerowało, że jest to jego podobizna. Zaprotestowałem, pisząc odpowiednie sprostowanie. Tymczasem jednak nasz przeciwnik nie zaprzestał szukania okazji do przedstawiania naszej idei w zwierciadle kpiny. Jeden z moich przyjaciół z redakcji paryskiego pisma „Teczka” przechwycił materiał red. Workowicza, w którym autor znów wadzi się z nami, używając modnych komedianckich manier, rodem z postmodernizmu. Fragment przedstawiam jako dowód ucieczki od tematu, czyli faszeringowania odbiorcy czystą maligną:

„Prowadź, Psie, przez prerie Kosmosu!”

– powiedział ironicznie Yanouche Pijanka i zamknął oczy. (Red. Mieszko Workowicz przy tym był)!

Za oknem, pod niskim, czarnym niebem planety – zapewne niewielkich rozmiarów (o czym świadczyłaby bliska linia horyzontu) – odchodził skrajem zboża stary kowboj w kapeluszu, już prawie zniknął za krzywizną. Romq Y. Pies rzucił ku jego postaci krótkie spojrzenie, a następnie ostry wzrok skierował na otaczające ich osoby:

– No i z czego się śmiejecie? Sami z siebie się śmiejecie! – warknął z dziwną z pasją.

(I w tym momencie zostali uwiecznieni). Sekundę później kapelusz syczył między gwiazdami, a wówczas czaszka Y. Pijanki straciła cały swój blask, jakby Księżyc doznał nagle zaćmienia. Obecni w Pol-Clubie artyści wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Ktoś chrząknął znacząco.

(Pominę drobnostkę, że red. Workowicz nie poznał się nawet, że cytowałem Gogola). Przede wszystkim odpowiedzi domaga się pytanie, kto to jest p. Janusz Pijanka? Ten typowy jako Europejczyk „inwalida emocjonalny”, ofiara powszechnego sposobu pożycia małżeńskiego, a właściwie jego braku (o jego bojach z żoną i o żonę pisała nawet „Gazeta Wyborcza”), oddał się w całości idee fixe, czyli odtworzeniu wsi indiańskiej w Bieszczadach. Zaczął przyprowadzać do „Pol-Clubu” potomków Inków oraz Indian innych szczepów. ROBIŁ NIEUSTANNE ZEBRANIA. Zbierał podpisy. Gen. Pstrąg był przeciwny temu absurdalnemu pomysłowi tworzenia kolejnego skansenu i nakazał mi dać Pijance odpowiednią reprimendę. Dokonałem tego na wernisażu malarza-decentrysty, Janusza Elisa Kowalskiego, besztając publicznie faceta wobec przybyłych artystów. „Indiańską pasję” tego człowieka zamierzałem skierować w stronę bardziej praktyczną, proponując zakopanie topora i połączenie sił, ten zaś wolał odgrywać Sama Hawkinsa z „Winnetou”, zwracając się do mnie per Old Shatterhand (hihihi! hihihi!).

Pamiętam, że podczas wernisażu zrobiłem zdjęcie pannie Izabeli Stukow z Suwałk z jednym z przybyłych Inków (niestety, wysłałem jej też film). Z ojcem Izabeli dogadałem się w mgnieniu oka, pytając go, czy przypadkiem nie jest z plemienia Jadźwingów. Przyznał się do tego z naturalną radością, nie widziałem więc powodów, żeby nie wyjawić, że jestem częściowo Huculem. Zauważyłem w ogóle, że ludzie pochodzący z dwóch lub kilku plemion równocześnie, kumają się automatycznie na falach *sympa*.

7

Gen. Pstrąg prosił mnie także, abym delikatnie wytknął pisarzowi i podróżnikowi, Romanowi Warszawskiemu, że recenzując książkę „Pod klątwą kapłanów” nie

wspomniał również o sanskryckich konotacjach imienia Uma. W „Nieznanym Świecie” nr 9/2000 czytamy: *W swoim pierwotnym znaczeniu w języku keczua oznaczało ono urodziwą dziewczynę, a z czasem przekształciło się w imię własne zarezerwowane tylko i wyłącznie dla inkaskich księżniczek. (...) Uma z czasem nabrało znaczenia Wybranka i było bardzo popularne wśród tzw. Dziewic Słońca (...) przeznaczonych do sprawowania wielu czynności związanych z rytuałem solarnym.* Dorzucam więc z przyjemnością, że imię Uma znane jest już w hinduskich Wedach, gdzie oznaczało Dziewczynę Rozumną (*um* pochodzi od *om* – świętej sylaby – której pierwotne znaczenie jest *rozum*; od tegoż ros. *um*, pol. *rozum*, fr. *raison* itp.). O wiele częściej jeszcze pojawia się w Wedach imię Amaru... Zapytam więc Romana Warszewskiego jego własnymi słowami: *Czy wszystko to miałoby być tylko kolejnym przedziwnym zbiegiem okoliczności?* (W „Czarnej Dziurze” imię Uma przyjmuje każda nowozaprzyjężona partycypantka. Oznacza się nim u nas kobietę zdolną do praktyk androgynicznych, subtelniejszej formy małżeństwa).

Będąc zaś przy tym znawcy tajemnic andyjskich i odmiennych stanów świadomości, wyjaśnię na koniec, dlaczego nie posiadam wizerunku gen. Pstrąga. Roman Warszewski interesował się jak wiadomo Carlosem Castaneda, a nawet poznał go osobiście bliżej, jednak także jego podobizną nie dysponuje. Otóż Carlos Castaneda i Adam Pstrąg wyznawali identyczną zasadę życiową: nie pozwalali się fotografować, uznając zdjęcie za „kradzież duszy”. Podobnie jak Roman Warszewski, uszanowałem ten rudymet starych wier.

Pozostaje mi już tylko opowiedzieć o zazdrosnym traktorzyście. Jak już wspominałem, Adam na początek nauczył mnie techniki „śnienia na jawie i bycia przytomnym we śnie”. Metoda jego praktyki przypominała tę, którą Carlos Castaneda prezentuje w „Naukach Don Huana”, niemniej okazała się równie efektywna. Chodząc spać z odpowiednią opaską uciskową na głowie, zacząłem wkrótce mieć sny-wizje, które łączył wspólny motyw. Śnił mi się zawsze sowchoz podobny do tego, w którym wychowałem się jako dziecko. Niesamowitości snu, który trwał niemal siedem lat noc w noc, dodawał fakt, że w czasoprzestrzeni wioski przebywał kilkuletni chłopiec, w którym rozpoznałem siebie samego sprzed lat. Nazywał się Yan Golasa, a jego rodzice nie byli podobni do moich. Ja sam w tych snach śniłem się sobie jako Pustelnik, sowchozowy głupek. Pamiętałem go z dzieciństwa, jak rozmawiał ze mną tak, jak ja potem rozmawiałem z Yanem Golasą we śnie. Lecz najgłówniejszą dla mnie postacią tej wsi jest Władziu Wołoski, traktorzysta i miłośnik żab. Sowchoźnik ten miał uzasadnione podejrzenia, że żona go zdradza. Cierpiał, zżerała go zazdrość. Z rozpacz zaczął przemawiać do zwierząt, aż trafił na żabę, z którą zdawał się mieć kontakt. Władzia opisałem potem w powieści „Święty spokój” (drukowanej częściowo w polskiej prasie literackiej w latach 75/79) słowami kolegi traktorzysty:

Inny [sowchoźnik – przyp. rzecz. pras. PSNB] to znów żab się czepił. Gdzie zobaczył żabę, to ją zaraz głaskał, godzinami to mógł robić. Potem stale za nim taka jedna przychodziła. On do sklepu, ona też do sklepu. Wskakiwała, proszę ciebie, na kontuar, żeby patrzeć się na niego, jak on pije.

Podczas jednego z seansów sennyh spotkałem Władzia poważnie zasmuconego zniknięciem żaby z kieszeni jego ubrania roboczego. Przyjaźniłem się z nim, ponieważ nigdy nie traktował mnie jak głupka. Powiedziałem mu, żeby się nie martwił, znajdę na to radę. Na jawie z gen. Pstrągem – który był głównym interpretatorem mego snu; za co nigdy dosyć podziękowań! – doszliśmy do wniosku, że zwierzątko ukradło któreś sowchozowe dziecko. „Zapytaj Yasia, on będzie wiedział!” – zasugerował mi nauczyciel.

W najbliższą noc odszukałem we śnie swego nieletniego sobowtórka, nachodząc go od strony lasu, pod którym zbierał kwiatki. Pamiętam, że długo musiałem mu tłumaczyć różnicę między „skarżyć” a „świadczyć”. Szlachetne dziecko nie chciało zadenuncjować kolegi, ale zrozumiało powagę sytuacji, gdy wyjaśniłem, że jeśli Władziu nie odzyska żaby, może wpaść w nerwy i pozarzynać wszystkich sowchoźników. Zniżywszy głos do szeptu, Yasiu wyznał:

– Ilku szmorył ropuszkę w korczy! – (Co po huculsku znaczy: Ilku rzucił żabkę w krzaki)! Niebawem też zaprowadził mnie do ogromnego krzewu dzikiej róży, u podnóża której splecione pędy cierniowe tworzyły naturalną klatkę, otwartą od góry. Żaba spadła na malutką polankę otoczoną szpikulcami. Gdy ją znalazłem, miała poranione boki, a niektóre brodawki krwawiły. Dzięki pomocy Yasia mogliśmy żabę uratować, a następnie owiniętą w czysty gałganek zanieść uradowanemu Władziowi.

Nigdy też nie zapomnę momentu, gdy analizując nazajutrz ten fragment snu z gen. Pstrągiem, zauważyłem, że jest mój mistrz nad wyraz niedbale ogolony. Plastrami miał upstrzoną twarz. Uśmiechał się tak trochę chytrze, a gdy doszedłem do opisu oddawania Władziowi odzyskanego dobra, mówiąc, że „traktorzysta na powitanie żabę wyściskał i wycalował”, nie omieszkał zapytać, czy przyglądałem się obliczu płaza, którego wyzwoliłem. Ponieważ odpowiedziałem, że jednak nie, gen. Pstrąg nakazał mi to zrobić w najbliższą noc. Jak mi nakazał, tak też i zrobiłem. Zazdrosnego traktorzystę spotkałem nieopodal swej maszyny Ursus. Poprosiłem go, aby pozwolił mi popatrzeć na żabę. Zgodził się bez słowa i wyjął ropuchę wprost z kieszeni, gdzie była wytresowana żyć. Ujrzawszy ją przytomnie, doznałem dziwnego wrażenia pomieszania fikcji z rzeczywistością, stan słodkości i ekstazy. Musiałem mieć minę prawdziwego głupka, bo Władziu zapytał:

– Dlaczego śmiejesz się z mojej żaby?

– Nie z niej, tylko do niej! – odpowiedziały moje usta.

– A to co innego! – udobruchał się mój sowchozowy kolega.

Najważniejsze było jednak to, co ujrzałem w pierwszym wrażeniu: mordka zwierzątka wykazywała niezwykle podobieństwo do fizjonomii gen. Pstrąga (jak mogłem tego dotąd nie zauważyć?! Na jawie oczywiście nie omieszkałem się swym odkryciem pochwalić. Okazało się, że był to kolejny egzamin, który właśnie pozytywnie zaliczyłem:

– Śniesz w kursie! – pochwalił mnie Adam. – Śnij tak dalej!

Było to dla mnie wówczas najwyższe wyróżnienie za „jakość snów”, jakkolwiek „śnika” miałem odkryć dopiero za kilkanaście lat, w zupełnie innych realiach i pojęciach realności. („Śnik” jest najmniejszą, dalej niepodzielną, częścią snu – odpowiednik atomu fizyki).

cdn

Osny, 18 X 46 r.n.e.e.*

**Używam datowania nowej ery europejskiej, wewnętrznego kalendarza „Czarnej Dziury”. Wg gen. Pstrąga n.e.e. zaczęła się końcem sierpnia 1954 roku, gdy połączone plemiona Łemków, Bojków i Huculów przeprowadziły w Karpatach Północnych pierwszy eksperyment androgyniczny, próbę psychicznego „przeszczepu Żony w Męża” (operacja nie udała się, ale w zbiorowej pamięci sekty symbol pozostał). Szczegóły poglądu naszego nauczyciela przedstawię w następnych rozdziałach.*

BIAŁE ŻABY FRUWAJĄ NAD KRYWEM W PAŹDZIERNIKU

1

Miałem to szczęście w życiu zostać uczniem mistrza duchowego, gen. Adama Pstrąga. W kondycji ucznia przebywałem ponad 30 lat, aż do 3 stycznia br., w którym to dniu zostałem wyzwolony, z zachowaniem uroczystej liturgii „Czarnej Dziury”: nałożono mi durszlak na głowę i podsunięto do ucałowania czubek muchomora z lasów karpackich. Ze względu na porę roku wieczór umilały kumkaniem i skakaniem wokół ogniska żaby elektroniczne, sterowane przez specjalnych agentów sekty. „Czarna Dziura” jest wprawdzie typową anty-sektą, ale tymczasem będę nas określał *a la mode parisienne*. Kto nie wierzy, że ludzkość jest zdolna opanować technologię reinkarnacji, ten wszak automatycznie będzie nas postrzegał *au depart* poza miłym mu kartezjańskim paradygmatem (jego wszechświat istnieje na zewnątrz, wewnątrz zaś są tylko zmysły, oczekujące na kolejny cud ekranu, płyty, podniebienia itp.). Zwykle ci anty-sekciarze są jednak aż tak naiwni, że wierzą w najabsurdalniejsze banialuki. Gdybym niechcący napisał, że wszyscy, którzy zbliżają niniejszy tekst do swoich oczu, ryzykują niebezpieczną infekcją mentalnym wirusem idei czarnodziurskiej, każdy z nich uznałby moje słowa za „działanie magiczne”, a mnie za szarlatana, który chce go opętać...

Gen. Pstrąg powiedział kiedyś: *Niektórzy Paryżanie noszą kartezjański paradygmat jak koronę, ale nie mogą jej zdjąć, bo zaraz czują się podle, jakby im zdjęto z mózgu kaftan bezpieczeństwa!* Myślę, że nasz mistrz trafnie uchwycił naturę współczesnego Europejczyka, rozdartego między możliwościami czucia się wariatem albo robotem. Osobiście nie wstydzę się przyznać, że 30 lat temu ja też nie wierzyłem, że wariat to brzmi dumnie. „Na początek zostaniesz wariatem okresowym!” – zdecydował gen. Pstrąg już chyba w 1969 r. Od tego dnia choćby na godzinę dziennie zawieszałem na kołku zbiorowe pojęcie realności i oddawałem się w tym odmienionym stanie studiowaniu swego życia bieżącego. Pozytywne skutki zdrowotne tych praktyk na duchu odczuwam do dziś.

Po koronacji podano rytualne smażone ślimaki, jako obowiązkową zakąskę. Po ślimakach dobrze się wymiotuje, bo są śliskie. (Koronacją nazywa się u nas nałożenie na głowę wizerunku czaszy nocnego nieba, którym może być np. muchomor „pełen białych gwiazd i galaktyk”, przestrzelony wielokrotnie hełm, jak również po prostu durszlak; symbolikę tej dziwnej trochę liturgii sekty będę wyjaśniał *en passant*). Większość zaproszonych gości rzygała prosto do jeziora Enghien Les Bains, nad którym odbywała się impreza. Trupy ślimaków odpływały ku Wyspie Łabędziej, a niektóre zapewne docierały aż do Casina, jedynej legalnej ruletki w regionie L’Ile de France, położonej na przeciwległym brzegu. Rozczochrany Dionizos stał się widzialny, gdy już wszyscy stracili z oczu granicę między jawą a snem i śmiał się z tego sposobu karmienia podparyskich ryb.

2

Oprócz snu o sowchozie Krywe, trwającego prawie noc w noc 7 lat, miałem inne ciągi wizji lub pojedyncze odjazdy. Wielokrotnie obserwowałem np. obiekty, które ze względu na swą niezwykłą geometrię nie dają się opisać, ale bez wątplenia były to dwie osoby ludzkie różnej płci. Występowały jako całość, nawet gdy tylko jedna z nich zwracała się do mnie mową lub myślą. Zdarzało mi się słyszeć ich komunikaty

równocześnie uchem zewnętrznym i wewnętrznym, a zawsze wiedziałem, która z tych osób i jak się do mnie zwraca. Kobieta uroczystym głosem obarczała mnie jakimś tajnym zadaniem, wyrażając swoją wiarę, że je wykonam, a Mężczyzna powątpiewał w to drogą telepatyczną. Osoby te połączone były milionem nici cieńszych od włosa, które rozciągały się pomiędzy nimi po liniach prostych, bez względu na ruchy, jakie obydwie wobec siebie wykonywały. Nici te nigdy się nie plątały, jakkolwiek stwarzały wrażenie materialnych. Ów „obiekt androgyniczny” – jak zinterpretował go gen. Pstrąg – okazał się naszą gwiazdą przewodnią i naprowadził na odkrycie, że w śnionym serialu o sowchoźnikach chodzi o obserwację Władysława i Heleny Wołoskich, ponieważ małżeństwo to rzucało się w oczy swym niezwykłym sposobem życia.

Dziś – 28 X 2000 r. – gdy oddaję się wspomnieniom pisząc te słowa, widziałem na kanale „Arte” film, jakby specjalnie nakręcony na tę okazję. Gdzieś nad Eufratem odkopano miasto, a w nim posadzkę świątyni z mozaiką, której treścią jest grecki mit o Pazyfae. Obraz przedstawia wszystkich bohaterów tej historii:

Pazyfae – królowę Krety, zakochaną w białym byku; jej męża

Minosa – prawdziwego « monarchę z rogami »;

Dedala – konstruktora sztucznej krowy z drewna, we wnętrzu której Pazyfae zdradzała męża;

Minotaura – zrodzonego z tej miłości potomka o łbie byka, smakosza młodych dziewcząt i chłopców zjadanych przezeń na surowo;

Tezeusza – który tego potwora zabił w najśłynniejszym labiryncie świata; a także

Ariadnę – która podarowała ukochanemu kłębek nici, aby rozwijając je za sobą nie zgubił się wśród splątanych do imentu podziemnych korytarzy... Jest to przypadkiem ten sam mit, który gen. Pstrąg „nałożył” na mój sen o Krywem, gdyśmy zorientowali się z grubsza, o czym śnię. Siatka znaczeniowa mitu pozwoliła mi orientować się w śnionej rzeczywistości zgodnie z powziętym z góry planem.

Jeśli dotąd zatrzymywałem się przy orzącym pole Władziu bez wyraźnej potrzeby, dla próżnej przyjemności poplotkowania o trudach żywota w ustroju komunistycznym, to teraz zacząłem go poszukiwać od razu po zagłębieniu się w sen i naciągając na zwierzenia intymne. Podglądałem go także, gdy nie zdawał sobie z tego sprawy, będąc sam na sam z sobą. Poznałem bliżej jego żonę i dzieci. Nie uszło to uwadze pozostałych sowchoźników, którzy zaczęli pokpiwać, że traktorzysta trzyma sztamę z wiejskim głupkiem. Zaprzyjaźniłem się z nim już jednak na dobre i nasze spotkania kontynuowaliśmy ukradkiem, aż ostatecznie doszło do tego, że zostałem najbliższym powiernikiem jego sekretów małżeńskich i mogłem mieć wpływ na poczynania wobec Heleny. Żona Władzia – dojarka sowchozowa – charakteryzowała się pociąganiem seksualnym do zwierząt, tak jak jej postać archetypowa (a nawet nazywała się podobnie z domu: Pazucha); a poza tym puszczała się ze wszystkimi bez wyjątku sowchoźnikami, znacznie zaniżając poziom wieku seksualnych debiutantów wsi. Przyznaję się, że to właśnie ja namówiłem ostatecznie Władzia do zamordowania swej połowicy, gdy już dopuściła się swego czynu nierządowego z sowchozowym buhajem rozplodowym. Skonsultować tego z moim nauczycielem nie miałem czasu, decyzję podjąłem jeszcze tej samej nocy. (Niech mnie jednak usprawiedliwia fakt, że miałem pełną przytomność, że jestem pogrążony we własnym majaku).

Z nazwiskiem Minoś sprawa do dziś jest niejasna; nigdy nie udało nam się z Adamem dociec, dlaczego w moim śnie stolarz – konstruktor drewnianej krowy –

nazywał się prawie tak samo, jak w micie mąż Pazyfae. W Krywem po prostu stolarzem był Bartosz Minoś.

3

Moje wieloletnie penetracje tego snu pozwoliły potem mocodawcom gen. Pstrągą zrekonstruować sowchoz Krywe na rozległych terenach Amazonii, a mnie w nagrodę pozwolono w nim żyć w postaci Pustelnika, którym się sobie wcześniej śniłem. Doglądałem w nim Yasia Golasę, wyklonowanego z mego włosa potomka linii zerowej. „Matką” Yasia była najpierw szklana próbówka, a następnie amerykańska aktorka pochodzenia japońskiego, która przeszła celująco wszystkie testy wstępne, ucząc się huculskiego w ciągu pół roku, zaś „ojcem” wysoki wysportowany Polak, poza odtwarzaną czasoprzestrzenią także jej mąż. W tym gigantycznym przedsięwzięciu teatralnym, które trwało około 10 lat, wzięło udział ponad 100 osób, nie licząc artystów zatrudnionych okresowo. Przygotowania do spektaklu przypominały pracę na planie zdjęciowym, natomiast sam utwór był raczej sztuką życia codziennego w naturze, której widzami byli jego bohaterowie aktorzy. Mogłem w tej sztucznie stworzonej rzeczywistości przeżyć raz jeszcze początkowy fragment swego życia, tym razem jako jego współautor i ulepszacz. Główny bohater dowiedział się o eksperymencie w wieku 10 lat i bynajmniej nie był to dla jego psychiki szok ponad siły. Trzeba jednak pamiętać, że wszystkie dzieci z Krywego nasiąkły baśniowością istnienia, której współczynnik utrzymywano tam na najwyższym światowym poziomie. Takiego obrotu sprawy nie mógłbym się nigdy spodziewać w swych najszańszych nawet rojeniach artystycznych, gdyby nie znajomość z moim czcigodnym nauczycielem. Za tę największą przygodę mego życia, przyjacielowi z gwiazdozbioru Żaby raz jeszcze stokrotnie dzięki!

4

Zapomniałem powiedzieć, że owe nici łączące dwie postacie w „obiekcie androgynicznym”, nazwaliśmy później „śniciną”. Gen. Pstrąg uznał, że jest to graficzne przedstawienie energii orgonalnej; która po prostu przyśniła mi się w formie naprężonych wektorków. „Śnicina” byłaby według mego mistrza brakującym komponentem sacrum. Brakującym – oczywiście – w pojęciu obecnym, ponieważ ten komponent w sacrum zawsze występował. Nauczyciel zapewnił mnie, że było mi dane oglądać postać wyizolowaną tego komponentu, jako „psychiczne promienie”.

Energia orgonalna była w ogóle tłem i przedmiotem badań czasoprzestrzeni odtworzonego sowchozu Krywe. Aktorzy musieli charakteryzować się ustabilizowanym polem biologicznym (określanym potocznie jako „wibracje”), a jeszcze lepiej jeśli dysponowali umiejętnością manewrowania nim zgodnie z własną wolą. „Podchody psychiczne” wobec urodziwych sąsiadek mieli sowchoźnicy dozwolone, jak w normalnym życiu. Fabuła sztuki nie była sztywna i można ją było wypełniać przejawem własnym. Szczegółowy scenariusz dotyczył tylko momentów, które musiały nastąpić w obecności mego potomka linii zerowej, dla którego ta cała komedia się działa. Dla logiki historii wioski pewne wydarzenia następowały także poza osobą Yasia, jako fakty o szczególnym znaczeniu dla rozwoju umysłów innych dzieci. W tym sztucznym kosmosie przyszło na świat przeszło sto pociech, które łączyła wspólna nieświadomość, jednakże sytuacja „klonka” była niewspółmiernie inna. On też nie wiedział, ale nie wiedział podwójnie. Gdy odwiedzał mnie ukradkiem w pustelni na skraju lasu, aby wertować moje księgi i albumy, przyciągany byłm przepastną głębią jego spojrzenia, spotęgowaną różnymi kolorami tęczy oczu, niebieską i zieloną. (Drobna wada genetyczna, do tematu kiedyś wrócę). Przyciągany byłm żywą przepaścią otwartej przyszłości, w którą patrząc uzyskiwałem pewność,

że wszechświat jest skończony: mój wzrok okrążył jego czterowymiarową hiperkulę i oto patrzyłem na siebie z drugiej strony. Mam nadzieję, że moje uczucia zostaną ostatecznie zrozumiane, gdy powiem, że miałem często ochotę paść przed tym dzieckiem na kolana i błagać o przebaczenie. Ale przecież nie mogłem sobie na to pozwolić.

Zawsze żałowałem, że Yan Golasa nie mógł przeżyć pewnych wydarzeń tak, jak ja je przeżyłem. W moim własnym wspomnieniu Władziu Wołoski przyjechał do nas z żoną w zadymkę śnieżną na krótkich saniach. Zeskoczywszy z pojazdu, rzucił się na mnie i wytarzał mnie w śniegu. Następnie trzymając mnie za stopę zataczał mną koła nad swą głową, będącą centrum dookolnego białego szaleństwa.

W amazońskim Krywem śnieg po prostu nie padał nigdy.

5

„Francuskim łącznikiem” z Twierdzą Przemyśl – rzeczywistą stolicą „Czarnej Dziury” – jest Ilias. W ostatnich miesiącach dawał się on często widzieć w przemyskiej piwiarni „U Wróbla”, gdzie mieścił się punkt kontaktowy naszej sekty. Domyślałam się, że gen. Pstrąg wysłał go tam z jakąś nową misjonarską robotą. Daje to nadzieję, że częściowa banicja, na jaką ten czarnodziurca został ongi skazany, należy do przeszłości.

Podczas zlotu w Enghien Les Bains – 3 stycznia br. – na otwartym spotkaniu autorskim z zaproszonymi hipami-dinozaurami, gen. Pstrąg tak wspominał rolę Iliasa w amazońskim Krywem (cytuję zgodnie z nagraniem):

PSTRĄG (wyjaśniająco): *Ilias odgrywał rolę popa, którego, jak wszystkim dzieciom w Krywem było wiadomo, pozostawiono jako cywila. Którego swoje sutanny miał, oczywiście, czasem się przebierać. Wiadomo, że cerkiew służyła za magazyn zbóż, i czasem w nocy, o czym dzieci wiedziały, Ilias odgrywał tam sceny takie. Na które te dzieci też „zpraszaliśmy”, dając im taką okazję „za plecami”... Jak to wiemy skądinąd, w obozach GUŁ-agu... takie sceny stąd znamy, zdarzało się, że zamknięci kapłani od czasu do czasu odgrywali w lesie, przed samym sobą, na przykład czy msze, czy jakąś część... I byli podglądani niechcący przez innych. Tu wykorzystaliśmy taką możliwość, żeby pokazać dzieciom, jak człowiek może złączyć się z ideami... i móc to robić, mimo że mu groziło za to niebezpieczeństwo. On w nocy chodził do cerkwi i wtedy „prowadziło się” tam takie dziecko: ułatwiał mu się podglądanie... żeby pokazać cały ten splot sytuacji, wyjaśnić od razu... Ale potem nam Ilias troszeczkę, no, można powiedzieć, zaczął popijać... żeby też dzieci wiedziały, że człowiek może wpaść w alkoholizm, czy w coś podobnego... i zbyt często Ilias nie chciał udawać pijanego po wodzie, jaką mu podawano, to zaczął pić wódkę... którą sobie zaczął gdzieś tam pędzić. I zaczął po prostu być rzeczywiście pijany. I musieliśmy go wyeliminować z tego spektaklu, z tego eksperymentu. Wysłaliśmy go z powrotem do Paryża. A dzieciom, oczywiście, powiedzieliśmy, że jednak zesłano go... poszedł do więzienia... A ty znowu... to troszeczkę za dużo dzisiaj, Ilias. Wszyscy jesteśmy w podobnej sytuacji; wiesz, że byliśmy, nie wiadomo jaką ilość czasu tutaj, wszyscy w trupa... Wreszcie, wreszcie... nadszedł dzień otrzeźwienia, i ciebie to też dotyczy.*

Osobiście mogę się tylko cieszyć, że moje prywatne święto dało Iliasowi okazję do odnowienia kontaktów z naszym nauczycielem, które tak pięknie owocują w podróże zagraniczne. Zawsze wysoko szanowaliśmy tego członka naszej sekty jako doradcę d/s kultury orientalnej. Ilias urodził się w Algierii, studiował arabistykę w

Afryce i Europie, zna 7 języków, w Polsce był przez 5 lat nauczycielem francuskiego, 3-krotnie żonaty (ma 2 córki, obie z żonami-Polkami), chrześcijanin obrządku wschodniego. Na spektaklach „Czarnej Dziury” Ilias występuje czasem w sutannie popa. I tu znajduje się „podziemne” przejście do rozdziału 6.

6

Red. Mieszko Workowicz nie ustaje w próbach ośmieszenia naszej idei. Tym razem ofiarą jego padł przedstawiony wyżej Ilias. Zaprzyjaźniony ze mną jeden z redaktorów paryskiego pisma „Teczka” przechwycił kolejny materiał naszego adwersarza. Cytuję jedyny cenzuralny fragment tekstu (u szczytu lampy widoczny orzeł w koronie, pamiątka Iliasa z Krakowa czasów komuny):

Spotkany w podziemiach PolClubu pop...

fot. MW

...narkotyzował się nikotyną. Przyparty do muru przyznał się także do jedzenia surowego mięsa końskiego (w postaci tzw. tataru). Wypierał się, że nie jest popem, a tylko „odgrywa postać kapłana”, zaś na pytanie, czy palenie papierosów w jego religii jest grzechem, odpowiedział, że jest to grzech leki. „Natomiast ani khopla alkohol nie spożywam już długi czas!” - wyznał z zadowoleniem. I puszczając kółka z dymu, dodał: „Ćahnodziuhców śpowiadam poza kolejką!”

I takie cały czas temu podobne gaworzenie. Młodzi pisarze, opamiętajcie się. Albo przysyłajcie tę grafomanię bezpośrednio do „Artpo”, będziemy ją rozpubliczać w specjalnej rubryce Sztuka Po Końcu Świata (Art Po)!

W dodatku zdjęcie nie przedstawia PolClubu, lecz prywatną celę tego mnicha.

7

Wczesną jesienią w sowchozie Krywe padał zawsze śnieg lecący do góry. Obserwowane przeze mnie we śnie zbiorowe gospodarstwo rolne zajmowało się bowiem uprawą konopi (produkowano olej, płótno zgrzebne, szpagat, powrozy itp.). Leżące wpierw przez parę tygodni w wodzie Sanu ścięte i wymłócone konopie, a potem suszone na brzegu, w pierwszych dniach października były już suche i można było przystąpić do etapu pozyskiwania z nich przędzy. Polegało to na biciu roślin rodzajem krótkich cepów, aż do uzyskania ich postaci rozmiędlonej, dającej się czesać. W powietrze wlatywały tysiące lekkich jak puch kołtunków. Sowchoźnicy żartowali, że gdyby piorun nie strzelał w rabarbar, tylko w wyschnięte konopie, efekt byłby podobny do ich roboty. Mężczyźni bili w łodygi tych roślin z marksistowsko-leninowską pasją, paląc fajeczki z drewna wiśni, huculskim obyczajem. Długo nie udawało mi się ustalić zawartości ich cybuchów, ale gdy raz poprosiłem jednego z palaczy, aby „dał mi macha”, efekt był taki, że padłem na ziemię, nie mogąc złapać tchu. Ocknąłem się dopiero pod wpływem piosenki, którą wracające ze szkoły dzieci zaśpiewały mi gromko nad uchem:

Jakieś białe żaby

po niebie latają!

Dyć to nasze ojcy

paździrze puszczają!

I tak oto na koniec mogłem się wytłumaczyć z tytułu odcinka. (Jako ciekawostkę zaś dodam, że większość dzieci sowchozu, w którym żyłem w dzieciństwie, wierzyła, że październik lecą do nieba jako „dusze ropuch”. W chmurach zostają przerabiane na płatki śniegu, bo tylko w takiej postaci żaby mogą przetrwać zimę i nie stracić

pamięci ostatniego wcielenia. W zimie obserwowaliśmy nieustannie pod szkolnym mikroskopem wciąż nowy płatek, porównując różnice geometryczne i przepych wzorów dusz żab karpackich. Partyjni nauczyciele sowchozowej szkółki chcieli wypełnić temu podobne „huculskie zabobony”, ale za ich plecami wierzyliśmy w to tym bardziej).

cdn

Osny, 5 XI 46 r.n.e.e.*

** Używam datowania nowej ery europejskiej, wewnętrznego kalendarza „Czarnej Dziury”. Wg gen. Pstrąga n.e.e. zaczęła się w ostatnią sobotę sierpnia 1954 roku, gdy przeprowadzono pierwszą próbę androgyniczną na Planecie, polegającą na „psychicznym przeszczepie Żony w Męża” (prototyp dokonał autodestrukcji, niemniej ślad w pamięci świata trwa). Szczegóły ciekawostki ujawnię niebawem.*

rozdział IV

próba ciągu dalszego poza konwencją bulwarową
(przerwana nagłą ucieczką energii śnikowej)

PLATEK ŚNIEGU Z OSNY

1

Zawsze gdy ktoś mnie pyta, co robię aktualnie „na niwie literackiej”, opowiadam tę samą historię. W 1969 r. poznałem gen. Adama Pstrąga, mego nauczyciela duchowego, który nauczył mnie „śnić na jawie i być przytomnym we śnie”. Przez siedem lat prawie w każdą noc śniłem sen na ten sam temat. Pojawiałem się w sowchozie podobnym do tego, w jakim wychowałem się jako dziecko. Niesamowitości snu dodawał fakt, że w czasoprzestrzeni wioski odkryłem swego nieletniego sobowtórka, potomka osób zupełnie do mych rodziców nie podobnych. Chłopiec nazywał się Yan Golasa, a jego matka z trudem mówiła po huculsku, który był językiem używanym w sowchozie. Była Azjatką, którą losy wojny rzuciły do Europy, dowiedziałem się później. Ojcem Yasia był wysoki chuderlawy Polak, chorobliwie zazdrosny, o czym się przekonałem spojrzawszy w oczy jego kobiety. Mego własnego ojca przypominał umiejętnością naprawiania odbiorników radiowych. Ja sam śniłem się sobie w tym śnie jako Pustelnik, wiejski głupek. Miałem pod lasem szopę, w niej książki i mapy, parę obrazów na ścianie i fajkę o długim cybuchu – miejsce to wszyscy sowchoźnicy nazywali pustelnią. Z własnych wspomnień pamiętałem Pustelnika, jak rozmawiał ze mną w dzieciństwie tymi samymi słowy, jakimi ja potem rozmawiałem we śnie z Yasiem. O tym, że nie był to ten sam sowchoz, w którym spędziłem dzieciństwo, przekonałem się, gdy któreś nocy opuściłem wieś i w pobliskim lesie natknąłem się na grupę Indian. Wieś otoczona była tropikalną dżunglą. Niemniej realia życia sowchozu odpowiadały latom 1947-1954 w podkarpackim regionie Polski.

Pytający spodziewa się, że w którymś momencie zacznę opowiadać, jak korzystam z tego wyśnionego materiału w swych pracach literackich, a niektórzy podpowiadają, że powinienem napisać scenariusz filmowy. W zależności od zainteresowania słuchacza, przedłużam opis penetracji poznanego środowiska, albo

od razu przechodzę do wyższego etapu mojej przygody. Przez siedem lat śniłem te sny, a każdy z nich musiałem po wielokroć opowiadać gen. Pstrągowi. Sporządzałem też rysunki i mapy z pamięci. Wykonałem w tych snach setki poleceń mego nauczyciela, które zmierzały najczęściej do zmiany jakiegoś detalu sennego, skorygowania scenariusza mojej podświadomości. „Byłem zmuszony zbliżyć się do odpowiednich postaci mego demona, aby wspólnie dokonywać operacji na mózgu psychiki!” – podsumowuję i dla ekscytacji dodaję: „Uprawiałem nawet miłość z główną bohaterką mego snu, bo tak chciał gen. Pstrąg!”

Wszyscy moi słuchacze wiedzą, że główna bohaterka to Helena Wołoska zd. Pazucha, żona traktorzysty Władysława, z którym się potem zaprzyjaźniłem. Mimo że wszystko to odbywało się we śnie, zawsze odczuwałem wobec Władzia pewien rodzaj onieśmienia: byłem realnie współwinny za jego nieustanny smutek (wynikający z prowadzenia się żony).

2

Moje wieloletnie penetracje tego snu pozwoliły potem mocodawcom gen. Pstrąga zrekonstruować rzeczony sowchoz na rozległych terenach Amazonii, a mnie w nagrodę pozwolono w nim żyć pod postacią Pustelnika, którym się sobie wcześniej śniłem. Wspominam, nie pozwalając głosowi drżeć, jak to ongi podpisałem cyrograf z moim nauczycielem: oni troszkę poeksperymentują na moich snach, a ja w zamian otrzymam możliwość przeżycia raz jeszcze początkowych lat mego życia, tym razem jako jego autor i ulepszacz. Podający się za amerykański Koncern Badań Orgonalnych mocodawcy gen. Pstrąga dysponują możliwościami klonowania istot ludzkich. Doświadczyłem tego na własnej skórze głowy: wyrwany z niej włos przekształcił się w niedługim czasie w Yana Golasę. Wyhodowanego w próbowce embriona donosiła pod sercem amerykańska aktorka japońskiego pochodzenia. Żałowałem bardzo, że nie mogę być w tym przedstawieniu jej mężem i móc opiekować się osobiście swoim potomkiem linii zerowej.

[Osny, XI 46]

rozdział V

inna próba przerwana z przyczyn technicznych

WIOSNĄ W OSNY NAD POTOKIEM VIOSNE

1

Po napisaniu trzech rozdziałów powieści „Czarna Dziura” popadłem w skrajną biedę emocyjną: ucisk w studziencie gardła nie pozwalał mi wypowiadać się swobodnie, a o pisaniu nie było mowy. Zrozumiałem od razu, że moja praca została źle przyjęta przez przyjaciół i krytyków, którym wysłałem tekst; czułem na odległość, że nie wiedzą jak zareagować: ani chybi uznali mnie za „wtórnego graphomana”, ale nie chcieli mi sprawiać przykrości. Ta ich bezradność docierała do mnie w postaci dławiących wibracji. Zawsze korzystam z bezpośredniej poczty świadomościowej i wiem, że są ludzie, którzy przypiekają moją osobą na swych wewnętrznych rożnach, często nieświadomie manipulując energiami swych psychik, ale tym razem było to coś zupełnie nowego: znikali ostatni wierzący w mój talent, co odczuwałem jako zapadanie się na własne dno i przybieranie wymiarów człowieka bez właściwości.

Utrata talentu jest w branży pisarskiej traktowana na równi z obłądem. Phachowcy mówią o zwiotczeniu psychicznego organu zapładniania (indriya). Wiedziałem, że jeśli nie zdarzy się coś, co pozwoli mi odzyskać wiarę w siebie [fragment w opracowywaniu - (przyp. Ins.Heg.Czł.)], a jedyną szansą na odmianę losu było napisanie całej prawdy o moich przygodach w formie poczytnej powieści sensacyjnej. Honorarium powinno wystarczyć [fragment w opracowywaniu (przyp. Ins.Heg.Czł.)], ale także na założenie pisma „Androgyn”, w którym zamierzałem poddać krytyce współczesną postać instytucji małżeństwa, wierząc że w ten sposób mogę pomóc innym równie niewinnym jak ja. Phantastyczne parametry mego losu pozwalały mi przypuszczać, że „mój przypadek” będzie miał dużą „siłę przebicia”.

2

Niestety, muszę przerwać tę relację, aby wyjaśnić to irytujące „ph”. Nie wiem, co się memu komputerowi stało, że nie wyświetla mi litery, którą w języku polskim stawia się w miejscu, gdzie używam „ph”. Ilekroć uderzam w tę literę, kilka centymetrów przed miejscem, gdzie powinna się ukazać, pojawia się czarna plama⁽⁵⁾

[Osny, XII 46]

Przypisy:

(1)

« Klon » jest jednym z tych dokumentów Instytutu Hegemonii Człowieka, który powstał z całości w sztabie narracyjnym. Fragmenty utworu będą opublikowane w powieści « Szkielet większej całości », przygotowywanej do druku w Podkarpackim Instytucie Książki i Marketingu w Rzeszowie.

(2)

Jadwiga Dąbrowska była właścicielką i Naczelną Redaktorką niskonakładowego czasopisma o tematyce postromantycznej « Teczka », ukazującego się w Paryżu na ostatnim przełomie tysiącleci. Nasz ówczesny rzecznik prasowy, Baydała Oszczecirski, publikował tam cykl felietonów « Świadomość kosmiczna » [bodaj w roku 44], zaś Roman Y. Kukara swoje opowiadania science-fiction. W jednym z numerów pisma Redaktorka opublikowała prowokacyjny list otwarty do Adama Pstrąga, który [jednak!] nie podjął współpracy z tą gazetą.

Było to zresztą już drugie spotkanie Jadwigi Dąbrowskiej z Adamem Pstrągiem. Na uroczystości zadurszlakowania R. Y. Kukury była ona jedyną przedstawicielką płci pięknej, dla której nasz Pierwszy Sekretarz zrobił wówczas wyjątek [liczył chyba na dziennikarskie echa, które jednak nie nastąpiły]. Po oficjalnej części pani Redaktor opuściła nasze towarzystwo, tłumacząc się zreżnieniem alkoholową abstynencją.

Żeby pozostać przy prawdzie na ten temat, dodam, że do Enghien Les Bains [naszej ówczesnej siedziby] zwabiły Red. Jadwigę Dąbrowską właśnie teksty naszego rzecznika prasowego, które zamieszczał w jej organie. To stamtąd wiedziała ona o durszlaku jako naszym nakryciu głowy i że jest on dla nas metaforą czasu niebios, podobnie jak muchomor [« małe, czerwone niebko, pełne białych gwiazd i galaktyk » - że zacytuję z pamięci] etc., etc...

W tym momencie [a jest poranek 25 sierpnia 2019 roku {nomen omen Rocznicą Wyzwolenia Paryża!}] postanowiłem wyjawic inną prawdę dla nas bolesną! O durszlaku jako nakryciu głowy mówimy i piszemy od początku lat osiemdziesiątych

ubiegłego wieku. Już bodaj w 1984 roku drukowałem w piśmie « Radar » wiersz pt. « Mistrz Li o durszlaku ». Wydawałem też kartki pocztowe [fot. Jacek Szwic] z własną podobizną z durszlakiem jako nakryciem głowy. Ogłosiłem performance « Jasna Noc », które Biuro Wystaw Artystycznych w Przemyślu wciągnęło do rejestru swoich planów: durszlak odgrywał i tam ważną rolę [performance nie odbył się oficjalnie, powody tego wyjaśnię innym razem]. Następnie w/w B. Oszczecirski przez bodaj dwa lata [43 i 44] informował polskich paryżan, dlaczego durszlak, a nie np. sitko...

Tymczasem istniejąca w wielu krajach świata nowa religia [w Polsce uznawana za parodię religii], znana jako Church of the Flying Spaghetti Monster, w której durszlak jest oficjalnym nakryciem głowy, została po raz pierwszy zarejestrowana prawnie w 2005 roku. Potwór został opisany przez fizyka Bob'ego Hendersona.

Jako Instytut Hegemonii Człowieka przygotowujemy się do zaskarżenia tego kościoła do światowego sądu, za naruszenie naszych praw autorskich. Alternatywnym wyjściem byłoby oddanie się wszystkich wyznawców tego kościoła pod naszą zwierzchność lub rezygnacja z tej ozdoby ich głów.

Niniejszym prosimy przychylnych nam prawników o pomoc prawną!

(3)

Słowa Sri Sathya Sai Baby.

(4)

Aleksander Rowiński, « Pod klątwą kapłanów », Warszawa, 1990.

(5)

Czarna Dziura, Czarna Plama, Czarna Płachta - to są inne nazwy Instytutu Hegemonii Człowieka - zdarzenia artystycznego ogłoszonego w Paryżu 22 marca 39 roku jako « Rywal Diabła ». Najczęściej używane odtąd nazwy to « Twierdza Przemyśl », « Instytut Badań Nad Duszą Europejczyka », « Centrum Opanowywania Technologii Reinkarnacji », « Przemyskie Królestwo Południarzy » [o istnieniu tego królestwa wspominam już nawet w opowiadaniu « Wokół Józefa Hreczanika », które drukowałem w piśmie « Nowy Wyraz » w 24 albo 25 r.], zaś wszystkie nazwy wymienię kiedy indziej.

Nie pamiętam też w tej chwili wszystkich naszych godeł! Kwitnący mlecz, kruk lecący na czerwonym niebie, mrówka, Wieża Eiffla...

Mamy też przepięknego kota o imieniu Przemyśl [malarka Barbara Lis namalowała już kilkadziesiąt jego portretów]!

Przemyśl ma przyjaciela o imieniu Grubrud [bo jest gruby i rudy]. Przemyśl mieszka w gwiazdozbiorze Przemyśl, a Grubrud pod Paryżem. Ten ostatni ma bliżej do mnie, dlatego w każdy wieczór przychodzi do naszego pałacu na kolację. Oczywiście, jak wszystkie koty, on też uważa, że jest moim Panem!

Iwan Golasa

Pigalle

1.

Chciałbym, aby moje wyznanie dotarło nie do niedowiarków, którzy mają klapki na oczach ducha i będą je traktować jako jeszcze jedną z bajek, ale przede wszystkim do tych, którzy wiedzą, iż bajki dzieją się wokół nas. Jestem człowiekiem, który wyrósł z bajki, a jej wewnętrzne wymiary świadomościowe oładnęły mną w wieku bardzo młodym, i już nigdy potem mnie nie opuściły.

Obecnie jestem męską prostytutką z placu Pigalle. Właśnie wróciłem z pracy, zdjąłem spódnicę, odpiąłem sztuczne piersi, zmyłem makijaż, napiłem się kawy i postanowiłem, że opiszę swoje życie.

Byłbym jednak skłamał, gdybym nie dodał, że postanowienie to podjąłem głównie dlatego, że stan moich hemoroidów jest zatrwajająco chorobliwy i nie jestem już zdolny nadstawić się kolejnemu użytkownikowi mego odbytu, w związku z czym przez co najmniej parę miesięcy zostaję pozbawiony pracy i będę musiał się czymś zająć.

2.

Potrafę się wzruszać. Podczas oglądania filmu, chwilę temu, o niewidomej panience i zakochanym w niej młodym człowieku, poczułem ściśnięcie w gardle i załzawiły mi się oczy. Był to polski film, sentymentalny, współczesny, oglądałem go u sąsiadów, którzy są Polakami. Sąsiedzi nie wiedzą, że jestem kurwą z Pigalle. Kiedy wracam do domu w swoim roboczym ubraniu, myślą, że jestem moją własną narzeczoną, która do mnie przychodzi.

- A któż to jest ta elegancka kobieta, która pana odwiedza? - pytają mnie czasem, a ja zawsze odpowiadam uroczyście, że jest to moja narzeczona, którą niebawem poślubię. Puszczam przy tym oczko, a oni uśmiechają się porozumiewawczo.

Dla nich jestem Żydo-Polakiem w średnim wieku, który wychował się w Związku Radzieckim, w rodzinie zesłanych tam kułaków. Taką historię swego życia wcisnąłem im na początku naszej znajomości. A potem kilkakrotnie opowiadałem im swoje życie w sowchozie, za Uralem. Z drugiej strony Uralu, patrząc od placu Pigalle, wytłumaczyłem im to dokładnie. Hebrajskiego nie znam, bo moja matka też go nie znała, zdradziłem przy tym zakamarek życiorysu. A yidisz znała, ale nauczać mnie nie chciała. Tu rozłożyłem bezradnie ręce i bez pardonu zaśpiewałem:

**Kurwa mama była,
Pacierza nie uczyła!
Kurwysyn był ojciec,
Kurwa mać go była!**

Wcześniej byłem dla nich tym mniej więcej pięćdziesięcioletkiem, którego niekiedy spotykali na schodach, o krzepkim ciele i twarzy odpowiednio do wieku pomarszczonej. Bliższą znajomość zawarliśmy przy skrzynce na listy, gdzie ich zastałem, gdy studiowali moje nazwisko:

- Iwan Lelyża! Iwan Lelyja! - czytali głośno (wymawiając "j" jak "ż", czym zdradzali znajomość francuszczyzny). - Imię ruskie, ale nazwisko chuj wie jakie! - powiedział jeden.

W tym momencie pojawiłem się pomiędzy nimi, wychodząc z windy, wszystko usłyszawszy. Ponieważ są to ludzie młodszy ode mnie, a przynajmniej na takiego wyglądam, spojrzałem na nich wyniosłym wzrokiem i warknąłem:

- Łełyja!

Zamilkli i patrzyli na mnie wyczekująco, z lekkim przerażeniem.

- Łełyja! - powtórzyłem przedniojęzykowo z udaną agresją. - Łe-ły-ja!!

Czując jednak, że jakieś rozedrgane emocje zaczynają płynąć ku mnie od nich, odezwałem się zaraz wesoło po polsku:

- Przepraszam panów, ale ja też mówię najpiękniejszym językiem świata! Iwan Łełyja, miło mi panów poznać! - I ściskając wyciągnięte ku mnie dłonie, kontynuowałem: - Po ukraińsku łełyja znaczy to samo, co po polsku lilia, a po francusku mówi się lis!

Panowie najwyraźniej ucieszyli się z zawarcia znajomości i odtąd nasze kontakty stały się coraz częstsze. Nieustannie mnie zapraszają, z czego od czasu do czasu korzystam. Odwiedzam ich zawsze z butelką alkoholu, jak każe polski obyczaj, po spożyciu którego oni rytualnie powiadają "dobra wasza, dobra nasza" i stawiają na stół z trzaskiem butelkę polskiej wódki, najczęściej jest to Chopin.

Polaków w ogóle można podzielić na takich, którzy słuchają Chopina i takich, którzy piją Chopina. Pośród moich nowych znajomych występują wprawdzie tylko tacy, którzy piją Chopina oraz tacy, którzy piją i równocześnie słuchają Chopina, nie ma natomiast takich, którzy tylko słuchają Chopina, ale według nich samych taki rodzaj Polaków też istnieje.

3.

Operacja plastyczna, jaką przeszedłem niedawno, powinna mnie już ostatecznie i skutecznie odciąć od człowieka, którym byłem w przeszłości. Mam teraz twarz starzejącego się półysala. Nie odmładzałem mięśni mej fizjonomii, lecz na opak: lekko je rozflaczyłem i przefarbowałem na żółtawo z delikatnym odcieniem siności. To zasługa lekarzy, których poprosiłem, aby użyli swych zdolności odwrotnie niż zwykle. Obrażało to trochę ich godność zawodową, ale usługę wykonali doskonale. W niektórych środowiskach polskich Paryża szerzył się niedawno kult mojej osoby. Sprawa jest skomplikowana, obecnie powiem tylko, że nikt spośród wyznawców moich nauk nigdy mnie nie rozpoznał, ale krąg podejrzanych, że ja to właśnie ja, nagle się tak zawęził, że musiałem uciec się do starego sposobu ucieczki na koniec świata. Ostatecznie jednak wybrałem Paryż, uznając, że najciemniej pod latarniami Moulin Rouge, w czym mi dopomógł wspomniany wyżej niezwykle postępowy chirurgii maszkarny.

Musiałem przerwać swą działalność bycia prorokiem, nie chcąc być schwytanym przez tych, którzy szukają mnie od dobrych paru lat. Mimo że komuna upadła już kilkanaście lat temu, jestem nadal poszukiwany, jako żywy dowód przekształceń świadomościowych; jestem ofiarą eksperymentu, jaki przeprowadzono "na rozległych terenach Związku Radzieckiego" i mam na ten temat wiele do ujawnienia.

Udało mi się umknąć dzięki memu własnemu ojcu, a właściwie dzięki człowiekowi, który się za niego podawał. Nie mógł mi dać on nic więcej oprócz wolności. Aby ubezpieczyć się przed zemstą eksperymentatorów, w tym jednak nikt nie może mi pomóc.

4.

Atak hemoroidów poprzedził sen proroczy. Śniłem, że opróżniam się w swej łaźnicy, ale siedziałem nie na sedesie, lecz czymś w rodzaju tronu ze złotymi oparciami po bokach. Czytałem przy tym jakąś księgę, jak to zwykle praktykuję na jawie, bo żadna strata czasu nie drażni mnie tak, jak ta spędzona na wydalaniu z siebie mas kałowych. Czułem niewielkie pieczenie w odbycie, ale ponieważ moim defekacjom towarzyszy niekiedy lekkie krwawienie, nie przejmowałem się tym za bardzo, pochłonięty lekturą. Lecz gdy wreszcie wstałem, stwierdziłem, że na dnie muszli leży li tylko czerwona róża.

W tym momencie spadła mi z głowy korona, o której nie wiedziałem, że ją mam. Nagłe podejrzenie, że jestem władcą jakiegoś imperium, który doznał obłądu w ubikacji, sprawiło, że przez plecy przebiegł mi mroźny dreszcz. Otwór w tronie był na pewno wyrżnięty ręczną piłką: niezbyt okrągła dziura nosiła ślady bocznych zacięć, jakby robiący ją stolarz był pijany. Korona spadła mi w chwili, gdy instynktownie pochyliłem się, aby zobaczyć kwiat z bliska. W tym szoku podwójnego zdumienia, usłyszałem zza drzwi szept ojca:

- Jasiu, czekają na ciebie!

Zrozumiałem, że mój ojciec zmartwychwstał, a jego tak bliska obecność uderzyła mi do głowy falą euforii. Sam nie wiedząc, po co to czynię, w pośpiechu porwałem koronę i nasadziłem ją aż do połowy czoła. Zauważyłem, że posiada ona nauszniki, jak zimowa czapka, a od spodu przypomina żołnierski hełm. Jej złocista powierzchnia była ozdobiona wielką rubinową gwiazdą, wokół której skrzyły się roje gwiazdek z diamentów. O róży starałem się na razie nie myśleć. Otwierając łaźnicę stwierdziłem, że była zamknięta na żelazny haczyk, jak pospolity wychodek. Ojciec stał za drzwiami, ubrany w krótki barani kożuszek, rajtki i oficerki, jakby wybierał się na uroczystą wieczornicę do naszej sowchozowej świetlicy. Oczami dał mi do zrozumienia, że trochę za długo się guzdrałem. Chciałem rzucić się mu w ramiona i powiedzieć, że nie widziałem go ponad dwadzieścia lat, ale tylko zachichotałem, bo zapytał, udając srogość:

- Wysrałeś wreszcie to swoje berło, czy nie?

Jak zwykle za życia był wszechwiedzący i czułem, że nadal kocha mnie jak własnego syna. Bez słowa wybiegłem do łaźnicy i wyjąłem różę z muszli sedesu. Trzymając ją jak berło, wróciłem przed jego oblicze, ale już go tam nie zastałem. Ogarnął mnie straszliwy smutek, ale oto jedna ze ścian uniosła się jak kurtyna i znalazłem się na scenie teatrzyku w sowchozie Krywe. Ojciec był już na widowni pośród około stu osób. Znałem wszystkie te twarze. Wiedziałem, że muszę mówić. Więc zacząłem od pierwszych słów, które przysły mi do głowy:

**Jestem król Herod! Pan nad panami!
Pod moimi stopami żelazo się łamie!
Na me rozkazy mam wojsk tysiące!
Na me skinienie mam niebo i słońce!**

5.

Ludziom młodym, a także wszystkim tym, którzy nie doświadczyli ataku hemoroidów, wyjaśniam, że jest to choroba tyleż komiczna, co okrutna. Człowiek czuje się jak z różą w dupie: wewnątrz кишки stolcowej ma łodygę z kolcami, a na zewnątrz kwiat. Lecz wyjąć się go przecież nie da, ponieważ jest on zrosnięty z całą resztą naszego jestestwa. Dlatego zemściłem się na mojej podświadomości. Gdy tylko zrozumiałem któregoś ranka, czego dotyczył sen, interpretując go sobie jako ostrzeżenie, że to, na

co się ważyć, jest możliwe tylko we śnie, tym bardziej postanowiłem opisywać swoje życie. Być może nawet była to celowa prowokacja mego wyższego ja, bez której zarzuciłbym prowadzenie tych notatek po paru dniach pod byle pretekstem, jak to już zresztą nieraz bywało, ale tym razem ogarnęła mnie prawdziwa furia: będę uparcie wygadał z siebie własną różę tak długo, jak sam uznam to za właściwe, nie złamię mnie kpina moich wewnętrznych demonów! - przyrzekłem to sobie w dniu najokrutniejszego bólu dziury w dupie i od tego ślubu już nie odstąpię. Nie wiem, jak to jest z prawdziwymi pisarzami, ale wyobrażam sobie, że ich sięgnięcie za pióro też musiała poprzedzać jakaś wściekłość skierowana ku własnemu wnętrzu; ja w każdym razie poczułem się jak na wojnie z samym sobą.

Pierwszym wyrazem zemsty na podświadomości było udowodnienie sobie, że fizyczny obraz stanu mego odbytu może podobać się współczesnemu Europejczykowi. Zrobiłem dobrą kolorową fotografię moich hemoroidów. Usunąłem niepotrzebne elementy, pozostawiając tylko płatki i główny kulisty pęk. Koloru nie retuszowałem, acz pozwoliłem sobie skropić obiekt kropelkami wody, co stworzyło wrażenie rosy. Na początek wykonałem jedną odbitkę wielkości nalepki na butelce wina oraz dwie inne, formatu A4, które dałem oprawić w połączane ramki. Jedną powiesiłem sobie w gabinecie nad biurkiem i już tego samego wieczoru zaprosiłem sąsiadów Polaków na mały poczęstunek. Byli u mnie wówczas pierwszy raz i z ogromną ciekawością oglądali każdy szczegół apartamentu. Pokazując im gabinet, bardzo łatwo udało mi się zwrócić ich uwagę na zarzuconą przynętę. Gdy padło pytanie, co obraz przedstawia, odrzekłem tajemniczo, celowo wpadając w nastrój uroczysty:

- O, to coś szczególnego! Prawda, że przyciąga wzrok? Przyznam się, że spodziewałem się tego pytania! A nawet więcej powiem: zanim tu panowie weszli, założyłem się sam z sobą, że jeśli takie pytanie padnie, nie będę mógł niczego ukrywać i powiem to, co teraz powiem! Otóż zaprosiłem was tutaj właśnie ze względu na ten obraz! Jest to oryginalna fotografia! Dlaczego podkreślam, że oryginalna? Nie wiem, czy interesuje was sztuka współczesna, ale warto wiedzieć, że jeden z najnowszych poglądów na fotografię mówi, że ma ona właściwości przenoszące: człowiek patrzący na nią podróżuje swą podświadomością do obiektu, który jest na niej zarejestrowany! To dlatego jasnowidzowie używają oryginałów zdjęć, gdy chcą na przykład zlokalizować miejsce pobytu zaginionej osoby! Dawniej tylko sztuka ikonograficzna spełniała podobną rolę! Malarz ikon, czyli wizerunków świętych, musiał mieć dar doznawania wizji wewnętrznych, z których zdawał relacje na płótnie, a ludzie oglądający ikony kontaktowali się dzięki nim ze sferą niewidzialną w normalnych warunkach percepcyjnych! Świętość niektórych obrazów to żadna fantastyka, o czym świadczy ogromna przecież ilość wysłuchanych modlitw! Większość religii używa podobnych wehikułów od tysięcy, z wielkim pożytkiem swoich wyznawców! Tymczasem w naszej epoce okazało się, że podobnym medium jest również fotografia, a tej można używać także do celów świeckich! Dlatego, drodzy panowie, bardzo pragnąłem, aby ten oto obraz do mnie dotarł, co stało się właśnie dziś i stąd ta moja radość goszczenia was w moich progach! Takie małe święto! Oczywiście, nie będę robił tajemnicy i odpowiem wam na wasze pytanie, jednakże pod jednym małym waruneczkiem: napijcie się ze mną po kieliszeczku alkoholu, w którym to coś - tu pogłaskałem pieszczotliwie końcami palców różową hybrydę na zdjęciu - kisiło się przez jakiś czas! Dobra wasza żubrówka z trawką, dobra nasza uralówka z...! Z czym? Tajemnicę tę zdradzę wam po degustacji! - I tu naraz zaśmiałem się hałaśliwie: - Ha! Ha! Ha! Ha!

Następnie poprosiłem gości, rozbawionych takich wstępem, do salonu i na stół postawiłem z trzaskiem butelkę wypełnioną różowym płynem, w której pływał płatek czerwonej róży. Płyn składał się w jednej trzeciej z francuskiego wina z okolic Bordeaux, resztę stanowił polski spirytus rektyfikowany 90% vol. Butelkę zdobiła etykieta z czerwoną gwiazdką i rosyjskim napisem "Czapajew Gieroj" na tle wizerunku moich hemoroidów. Rzuciło się w oczy, że nie ma żadnych dodatkowych informacji.

- Kontrabanda! - ocenił fachowo najmłodszy z Polaków, zwany Monsieur Lait de Beurre (tak wołają nań dwaj pozostali; on zaś zwraca się do nich per Szkot i Śliż; prawdziwych nazwisk nie będę tu nigdy używał dla ich dobra, gdyż znajomość ze mną nie należy do rzeczy bezpiecznych). - Coś podobnego w kolorze jeden Ruski sprzedawał spod lady na Porte de Clignancourt! Ruska mafia działa! Zdaje mi się, że to też się nazywało "Czapajew Gieroj"!

- Naprawdę? - nie mogłem poważnie w ten cud uwierzyć. - Bo do mnie to dopiero dzisiaj dotarło! Dostałem paczkę prosto z sowchozu, o którym wam opowiadałem onegdaj! Napisałem tam list, nie mając nadziei, że ktokolwiek mi odpisze, a tymczasem stał się cud: przyszła paczka, a w niej butelka tego super lekarstwa! Bo to jest lekarstwo, panowie, to nie jest do picia na codzień! No, ale spróbujmy specyfiku, bo inaczej nie będę mógł wam zdradzić tajemnicy! - I dodałem z lekką kpina, nalewając płyn do kryształowych czarek: - A pan, panie Lait de Beurre, jeśli znów spotka tego Rosjanina, to niech pan go spyta, gdzie on pędzi swego "Gieroja"! Bo tylko i wyłącznie patent na to posiada spółka w *dierewni* Krywe na Uralu! A wie pan, ile butelek rocznie produkują? Tysiąc! Wypijmy, to powiem, dlaczego tak mało! Zdrowia, szczęścia i słodyczy, Iwan Łetyja wam życzy!

Położywszy lewą dłoń na karku i odchyliwszy się głęboko do tyłu, prawą dłonią zbliżyłem czarkę do ust i nagłym ruchem chlusnąłem całą jej zawartość w głąb gardła. Goście poszli za moim przykładem i w chwilę później dał się słyszeć nasz kwadrofoniczny odgłos łapania tchu. Trzewia moje zapłonęły, kop miał wszystkie uralskie parametry dobrego trunku, mogłem być z siebie dumny.

- *Kriepka, blad!* - wystękał wreszcie Szkot, przyglądając wąsa.

Nie zdziwiło mnie, że ów najstarszy z trójki moich nowych przyjaciół używa języka rosyjskiego. (Już w pierwszym dniu znajomości pochwalił mi się, że pracował w ZSRR przy budowie Rurociągu Przyjaźni, a nawet wymieniliśmy uwagi na temat tysiny Włodzimierza Ilicza Lenina, którą obaj podziwialiśmy na Kremlu, choć bynajmniej nie w tej samej grupie pielgrzymów). Nie zdziwiło mnie także, że Śliż wygłosił swoją pochwałę po polsko-ukraińsku (podczas którejś wspólnej popijawy wyznał mi nie bez dumy, że jego matka była Ukrainką):

- O, kurwa! Jakaż to *horiacza horitka!* - rzekł, spozierając na dno czarki.

Nie zdziwiło mnie nawet to, co powiedział Monsieur Lait de Beurre:

- *Putain!* Toż to lepsze niż *cognac!*

Zdziwiło mnie natomiast jedno: dlaczego moi goście użyli tego samego sensu na określenie, że podana im mikstura była super dobra. Trzykrotne nawiązanie do kobiety lekkich obyczajów wydało mi się aluzją do mego zawodu, o którym przecież nic nie wiedzieli. A może jednak wiedzieli? Może to nie ja ich podglądam, lecz oni mnie? Może wplątali się w moje życie celowo, jako agenci moich wrogów? Ta wzmianka Lait de Beurre'a o mafii! - myślałem gorączkowo, usiłując na zewnątrz zachować spokój. Na szczęście był to najważniejszy moment, aby wyjść do kuchni po przygotowane półmiski, a przy okazji uzbroić się w spluwę, którą trzymam w skrytce pod zlewem. Zrobiłem to i od razu poczułem się lepiej.

Wróciwszy z kuchni z ogromną tacą, na której wokół zamrożonej butelki wódki Chopin piętrzyły się stosy francuskich frykasów (ślimaków, żabich udek, łososiów, wątróbki gęsiej, pasztetów z dzika, z kury, z zająca, z kaczki, z jelenia, z łosia, sałaty w sosie octowym, kielbasy suchej grubej i cienkiej, kielbasy czosnkowej, szynki wieprzowej *à la Paris*, szynki surowej, kaszanki z jabłkami, jajek przepiórczych, serów w ilości co najmniej tuzina, pieczywa białego, ciemnego i jeszcze ciemniejszego, wód mineralnych cztery gatunki), czyli wzięwszy z sobą wszystko, co w domu miałem tego dnia, przeprosiłem za ubóstwo mego *menu* i przystąpiłem do dalszego ciągu odgrywania komedii. Najpierw, oczywiście, zakorkowałem butelkę z "Czapajewem Gierojem" i odstawiłem na honorową półkę w moim ogromnym oszklonym kredensie, aby wszyscy mogli ją stale mieć na oku.

- Znacie bajkę o apostołach? Jedzcie i pijcie, a po stołach nie rzygajcie! - zacząłem z humorem, popisując się znajomością polskiego przysłowia. - A na początek mam dla panów zagadkę! Co przedstawia obiekt na fotografii? Jeśli ktoś zgadnie, otrzyma ode mnie nagrodę specjalną!

- Różę! - odpowiedzieli wszyscy trzej panowie równocześnie.

- No, tak! - palnąłem się dłonią w czoło. - Nie wyjąłem płotka!

Polacy zaśmiali się przepraszająco, a ja spuściłem głowę, mówiąc, że mi wstyd, że taki jestem roztargniony. Niemniej zapewniłem gości, że nagroda ich nie ominie, lecz że otrzyma ją w tym dniu tylko jeden z nich, dwaj pozostali zaś za jakiś czas. Zauważyłem, że mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia, biorąc mnie za niezgorszego dziwaka. Pomyślałem z ulgą, że pomysł ze spluwą był jednak chyba zbyt przesadą.

- No, cóż, przejdźmy do meritum! - rozpocząłem opowieść. - Tak, to jest róża. Ma nawet w swej łacińskiej nazwie słowo *rosa*, ale ja nie lubię łaciny. *Rosa uralica* czy coś podobnego. My, na Uralu, zwaliśmy ją po prostu: *żopka diedi wracza*. To znaczy: dupka wujka lekarza. Pomiędzy mieszkającymi tam Polakami używało się także bardziej oględnej jej nazwy: róża znachorka. W rzeczywistości nie jest ona aż tak wielka, jak ta na fotografii w moim gabinecie. To celowe powiększenie. Jest nawet trochę mniejsza niż ta na etykietce. Ma najwyżej pięć centymetrów średnicy w momencie pełnego rozkwitu. Do tego rozkwitu nie wolno jednak dopuścić, bo kwiat traci wówczas swoje lecznicze właściwości. Jedna taka róża kosztuje tyle, że jej znalazca może nie pracować przez cały rok. Występuje niezwykle rzadko i tylko na terenie północnego Uralu, w wyższych partiach tych gór. Rozkwita raz w swym życiu na okres około dwóch tygodni, w którym to czasie trzeba ją znaleźć i ścinać, gdyż, jak wierzą mieszkańcy tamtych stron, po zrzuconiu płatków jej dusza opuszcza ciało, tak samo jak dusza ludzka. Górale uralscy wierzą, że jest to roślina rozumna i święta. Ktoś, kto ją znajdzie i zetnie bez wypowiedzenia odpowiednich słów, umiera tragicznie w ciągu paru lat. Może też przed śmiercią dostać obłędu i stać się na przykład wiejskim przygłupem. Znałem takiego: był ateistą, nie wierzył ani w Boga, ani tym bardziej w rozum roślin, a potem wył do księżycy wraz z psami. W końcu te psy, z którymi ciągle biegał, zażarły go na śmierć. Podobno zlizywał cieczkę suk, a śliną smarował sobie członka i odbył, zachęcając psy do kopulacji. Jego trupa widziałem na własne oczy, jako siedmioletni chłopak. Dlatego, gdy dwa lata później poszedłem z ojcem w góry na poszukiwanie tego skarbu, wiedziałem, co trzeba powiedzieć.

**Tiepier ja ubiju tiebja,
a patom ty ubijesz mienja!
O, maja krasiwaja!**

- Tak, drodzy panowie - kontynuowałem - macie przed sobą szczęśliwego znalazcę *żopki diedi wracza*. Zaklęcie, które wypowiedziałem, chroni mnie przed obłądem, ale duszę swoją zapisałem róży. Śmierć przyjdzie do mnie w jej postaci, tak jak jej śmierć przyszła do niej w mojej. Mój ojciec sprzedał potem tę różę sekretarzowi sowchozu, który był największym złodziejem, jakiego znałem na Uralu. Stało się to parę lat później, gdy przyszła na nas czarna godzina. Do tego czasu korzystaliśmy z jej płatków bardzo oszczędnie, mniej więcej jeden na rok. Ilość nalewki, jaką tu dziś wspólnie wypiliśmy, wystaczyłaby nam na wiele miesięcy. Pozwoliłem sobie na tę rozrzutność, bo dzisiaj to naprawdę wielkie dla mnie święto. Inna sprawa, że samo posiadanie róży w domu jest już wystarczającą ochroną zdrowia jego mieszkańców. To dlatego używaliśmy w rodzinie nalewki po kropelce. Musicie też wiedzieć, że w naszym sowchozie prawie każda rodzina miała przynajmniej parę takich płatków, trzymanyh często z dziada pradziada. Znachorka nie psuje się nigdy. Nawet gdy wyschnie po ścięciu, zachowuje ten sam zapach już na zawsze. Nie znam tego z własnego doświadczenia, ale podobno zapalona w fajce znachorka doprowadza do lewitacji. Bierze się macha i leci się tam, dokąd się chce. Prawo grawitacji zostaje zawieszane na kołku, że się tak wyrażę. A czy wiecie, panowie, ilu lewitantów ma w szeregach swych świętych religia katolicka? Jeśli mnie pamięć nie myli: dziewięćdziesięciu dwóch. Nie słyszałem jednak, aby którykolwiek z nich używał róży znachorki. Jest to w ogóle fenomen, przed którym nauka stoi jak dziad przed obrazem, co tu dużo mówić. Ale nie myślcie, że tylko ta roślina podporządkowała sobie prawo grawitacji. Rośnie w Brazylii ziele *ibadu*, o którym pisał Blaise Cendrars, pisarz żabojadów, którego bardzo wam polecam, mające dokładnie takie samo działanie. Zjesz i ciebie niesie.

- A dlaczego ta różą nazywa się *żopka diedi wracza*? - zapytał nagle Szkot.

- O, to piękne pytanie! - ucieszyłem się, że zaczynam wzbudzać ciekawość. - Gratuluję intuicji, panie Szkot! Nikt nigdy mi tego nie wyjaśnił, ale gdy się sam nad tym zastanawiałem, zrozumiałem, że może chodzić tylko o hemoroidy! Tak! Jest to choroba odbytu, która atakuje ludzi mniej więcej w pańskim wieku, a nawet młodszych! A *żopka* działa przede wszystkim na układ pokarmowy człowieka! Czyli także na sam koniec układu: *anus*! Po polsku: otwór stolcowy! Po francusku: *trou du cu*! Nawiasem mówiąc, gdyby któryś z panów cierpiał na podobne sensacje, proszę śmiało pukać do mnie, paru kropel lekarstwa nigdy nie odmówię! Co zaś do innych możliwości interpretacyjnych, to być może nazwa ma związek z łodygą znachorki. Cała ta łodyga ma około metra, z czego na powierzchnię ziemi wystaje nie więcej niż pół centymetra. Ziemia w tych rejonach Uralu, gdzie znachorka się pojawia, jest poniżej głębokości pół metra wieczną zamarzliną. Nie odmarza nawet latem! Po co znachorce taka długa łodyga? Tego nie wie dotąd nikt! A po co jej kolce tam głęboko pod ziemią? Tego też botanicy nie wiedzą! Ale górale uralscy mają na to odpowiedź: to ochrona przed pewnym rodzajem demonów, które żyją tylko pod ziemią! Zerwanie róży pozwala im wyjść na powierzchnię, ale na szczęście zdarza się to raz na tysiące lat, bo kolce znachorki mają truciznę, która tylko na nich działa! Gdy zauroczony znaleźnikiem demon chwytą łodygę w dłoń, doznaje paraliżu i przemienia się w skałę! Według znawców tamtejszych mitów, owe podziemne demony nie wynalazły nigdy rękawic!

Przerwałem, widząc, że Chopin się skończył, a Śliż zamyśla (poznałem to po chytrej minie), jak to zrobić, aby słuchać ciągu dalszego, a równocześnie wyskoczyć do siebie po następną butelkę. Puściłem doń oczko i pokiwałem głową, że zgadzam się z polską definicją słowa *nic*, którą mi kiedyś wyjawiał. *Nic* po polsku znaczy: pół litra na

dwóch. A więc coś było dopiero przed nami. I natychmiast podbiegłem do barku i zaraz postawiłem z podwójnym trzaskiem na stół butelkę rumu i butelkę koniaku. I znów podbiegłem do barku. I znów zaraz postawiłem na stół z podwójnym trzaskiem dwie butelki whisky. Goście zachichotali z ukontentowaniem.

- Po tym wszyscy padniemy jak kaczki! - powiedział Monsieur Lait de Beurre, przetykając kolejną żabę. Szkot i Śliż nie tknęli tego przysmaku, a on już kończył półmisek z wyrazem błogości kulinarnej na pacułowatej twarzy. Stos kości po żabich udkach sprawia na mnie zawsze wielce przygnębiające wrażenie, jakby ktoś dobrze nie poobgryzał krasnoludków, ale nie dałem tego po sobie poznać. Nalawszy sobie szklaneczkę rumu, zagłębiłem się w fotel, aby ciągnąć dalej.

- A czym si różni rum ód kóniaka? - zapytał nagle Śliż Szkota.

- Tym, cym kón ód rumaka! - odrzekł zapytany.

Obaj używali często gwary swych stron w rozmowach z sobą. Lubilem się temu przysłuchiwać, zwłaszcza, że nie wszystkie języki polskie znam.

6.

Jest w Paryżu takie polskie czasopismo, które nazywa się "Art-Po". Nie chciałbym krytykować przejawów kultury polskiej na obczyźnie, ale muszę. Podoba mi się np. działalność chóru folklorystycznego "Piaś", jego koncerty i stroje. Podoba mi się istnienie grupy malarzy decentryistów, ich wspólne wystawy i happeningi. Cieszy mnie nawet istnienie tak ekscentrycznego stowarzyszenia jak Partia Stworzycieli Nowego Boga.

[2002]

Baydała Oszczecirski

Partia Stworzycieli Nowego Boga

(manifest) (1)

*Tworzenie bogów jest obowiązkiem ludzkości,
a także jej najświętszym prawem.*

Adam Pstrąg

"Napisy na tęczy"

Paragraf 1.

Mimo że posiada w swej nazwie słowo partia, Partia Stworzycieli Nowego Boga nie jest partią w sensie politycznym, ponieważ mogą do niej należeć także przeciwnicy stworzenia Nowego Boga. Jedynym oczekiwanym obowiązkiem członka jest jego zaangażowanie emocjonalne: nasi **miłośnicy** i nasi **nienawistnicy** zajmą u nas miejsca obok siebie, równi w prawach i honorach. Pod względem emocji ci, którzy nie są z nami, są z nami, albowiem interesuje nas tylko siła ich uczucia. Można śmiało powiedzieć, że do PSNB należą wszyscy, którzy dowiedzieli się o jej istnieniu, gdyż wzbudzone w nich uczucia są natychmiast wychwytywane z

przestrzeni nieświadomości zbiorowej przez specjalnie wyszkolonych mistyków i wprowadzane do **banku energii emocyjnej**, będącego załączkiem Nowego Boga. Członkami naszej partii są więc stwórcy typu anielskiego i stwórcy typu demonicznego, obydwie typy oczywiście w postaci ludzkiej. Przy tej okazji nie sposób nie podkreślić, że parametry boskości Nowego Boga będą w dużej mierze zależne od typów stwórcy, co poddajemy pod rozważenie wszystkich zaangażowanych emocyjnie.

Paragraf 2.

Pewien Europejczyk z Polski zapytał nas, po co nam Nowy Bóg? Drogi Europejczyku, ludzie od tysiącleci zajmują się tworzeniem Narzędzi Wyższych, dzięki którym wzrastają, upodabniając się do nich. Wielu starych bogów ma ziemską metrykę, a jednak dzięki nim rzesze ich wyznawców stały się osobnikami doskonalszymi pod względem ducha i rozumu. Ale jeśli nawet wszyscy przeszli bogowie przybyli do nas z nieba, to czyż w obecnej sytuacji totalnego krachu na giełdzie religijnej, nie należałoby pomyśleć o stworzeniu nowego rodzaju bogów (**sił karzących i nagradzających** ludzi w nie wierzących)? Dla odróżnienia naszego stworzenia od bogów naturalnych będziemy Nowego Boga nazywać Bogiem Sztucznym, informujemy o tym dla uspokojenia emocyjnego tych wszystkich, którzy w naszym działaniu widzą zakusy na kondycję bogów istniejących i adorowanych.

Paragraf 3.

Tworzenie bogów jest obowiązkiem ludzkości, a także jej najświętszym prawem - jeśli zgadzasz się z tym naszym hasłem, jesteś potencjalnym prorokiem widzialnej części PSNB (zwanej dalej Instytutem Hegemonii Człowieka), jeśli nie, zajmij miejsce po lewicy i oddaj nam całą swą nienawiść, bez obawy jednak, że odplacimy Ci pięknem za nadobne. Całą kierowaną ku nam energią emocji nienawiści przekazujemy w przyszłości na **duchowe kły** (albo inny oręż) Nowego Boga, ażeby bronił nas przed tymi, którzy by z jakichś powodów chcieli wykreślić nas z pamięci świata. Nasi prorocy twierdzą wszakże, że trudno będzie o nas zapomnieć. Raz narodzony Nowy Bóg będzie trwał już do końca ludzkości i umrze wraz z nią.

- A kiedy to się stanie? - zapytał chytrze ów Europejczyk z Polski.

A jeden z naszych proroków mu odpowiedział:

- O, naiwny! Czyż nie wiesz, że mógłbyś temu zapobiec właśnie ty?

W tym momencie Europejczyk ów doznał iluminacji i z radością poprosił o legitymację proroka Instytutu Hegemonii Człowieka.

Paragraf 4.

Fikcja nie bierze udziału w naszym przedsięwzięciu, a rzeczywistość sensów słów nie ogranicza naszych dokonań w rzeczywistości pozasłownej. Energia emocji płynącej ku nam od miłośników i nienawistników jest realna i będzie sukcesywnie wyłapywana i przeklepywana na aktualnie potrzebne detale stwarzanego Nowego Boga. Na obecnym wstępnym etapie problemem głównym jest rejestracja i magazynowanie emocji. Tymczasem rolę sejfów i podręcznych spichlerzy skondensowanych mocy spełniają grupy mistyków, pracujących na jednakowych falach wibracyjnych, jak też szeregowi prorocy o rozwiniętej empatii. W możliwość rejestrowania dźwięków ludzkość także wątpiła przez tysiące lat, ośmielamy się mieć nadzieję, że już wkrótce odkryjemy również sposób, który pozwoli przechowywać emocję miłości, rozpaczy, wzruszenia itp. Obecne aparaty do wykrywania kłamstw, bazujące na zmianach biopola człowieka poddanego badaniom są prototypami

urządzeń konserwujących i powielających w milionach egzemplarzy natężenie uczuć tak np. kibiców na stadionach, jak nocy poślubnej interesującego fanów idola. Nie jest wykluczone, że badania takie są prowadzone tajnie dla celów, które zagrażają gatunkowi ludzkiemu (instalowanie urządzeń generujących uczucia negatywne w rejonach świata, w których wojna daje korzyści ekonomiczne). Powstanie cudów techniki tego rodzaju wzbudzi niebawem zainteresowanie **odczuwaniem bezpośrednim** energii psychicznych, właściwości ludzkiej haniebnie zaniedbanej w religiach i naukach Europy.

Paragraf 5.

Klepanie psychiki przewidział polski poeta Bolesław Leśmian w wierszu "Dziewczyna". W swej genialnej wizji prorokował doprowadzenie snów do postaci zestalonej, a następnie rozbijanie "murów snu od marzeń strony" przy pomocy odpowiednich młotów, rodzaju maszyn rozumnych, które po śmierci dwunastu braci, bohaterów wiersza, same kontynuują dzieło kucia. Wprawdzie efekt końcowy pracy młotów nie doprowadza do odnalezienia płaczącej za murem niewiasty, jednak intuicja poety wskazuje prekursorsko właściwy kierunek badań: **energia seksualna**, jako najmocniejsza postać energii psychiki, jest w opinii Instytutu Hegemonii Człowieka tą substancją, rozpoznanie subtelnosci której jest warunkiem nieodzownym dla zbudowania przez ludzkość **zbiorowej macicy**, gdzie płód Nowego Boga będzie bezpiecznie wzrastał w siłę, ku chwale wszystkich swych stwórcy. Znosi się na rewolucję seksualną nowego typu, a sfera intymna człowieka, uznawana dotąd za wstydliwą i grzeszną, doczeka się rehabilitacji i przestanie być blokadą społeczną we wspólnych pracach wyższych na szczyblu egregora. W panteonie pionierów stwórcy Nowego Boga przewidujemy wysokie miejsce dla Wilhelma Reicha, pierwszego męczennika idei, że energia orgazmiczna jest podstawą wszystkich znanych form życia w kosmosie.

Paragraf 6.

Instytut Hegemonii Człowieka ogłasza niniejszym konkurs na pomnik Reicha i Leśmiana, splecionych w przyjacielskim uścisku. Stanie on przed głównym wejściem do Komitetu Centralnego PSNB, jaki zamierzamy w bieżącej pięcioletniej wybudować we wsi Krywe, pow. Lesko, woj. podkarpackie. Budowla będzie miała kształt piramidy, a jej wnętrze pomieści **laboratorium androgyńskie**, niezbędne dla nowych praktyk małżeńskich, polegających na utrzymywaniu stałej łączności na poziomie **wibracji miodowych**, niemożliwej do zastosowania w warunkach współczesnego społeczeństwa. Przy rekrutacji do owego **klasztoru koedukacyjnego** wymagana będzie bezwzględnie zdolność do wzbudzania i przeżywania równocześnie z partnerem **stanów słodkich** na odległość. Według polskiego antropozofa Jerzego Prokopiuka idea zakonu dla mnichów płci obojga ma obecnie o wiele większe szanse powodzenia niż podobna próba podjęta pięćset lat temu przez chrześcijaństwo we Francji.

Tzw. **przestrzeń rytualna**, na terenie której powstanie piramida, rozciąga się między stopniami 22 a 23 szerokości geograficznej wschodniej i między 49 a 50 długości północnej, obejmując częściowo swym zasięgiem Słowację i Ukrainę. Ten wycinek planety nasi prorocy uznają zgodnie za **świętą ziemię Europy**, a leżące na niej miasto o zastanawiającej nazwie Przemyśl zostanie w przyszłości duchową stolicą zjednoczonej ludzkości. Pobliski Lwów ma natomiast odegrać jeszcze szczytniejszą rolę światowego centrum **opanowywania technologii reinkarnacji**, ostatecznego celu istnienia PSNB. Prorokują to zresztą nie tylko nasi mistycy, bo

przekonanie o wyjątkowej aurze tych ziem odcisnęło się także w rodzimym folklorze miasta, w znanej piosence tamtejszych batiarów:

**Gdybym się jeszcze raz urodzić miał,
to tylko we Lwowie!**

Paragraf 7

Czy się to podoba współczesnej psychologii, czy nie, uważamy, że Nowy Bóg musi wzbudzać powszechny lęk. Traktowanie Nowego Boga (nawet na jego obecnym etapie embrionalnym) jako chimery czy urojenia bandy idiotów może skończyć się dla naszego nienawistnika ściąganiem na siebie negatywnych emocji innych nienawistników, których nasi prorocy nie zdążyli jeszcze wyłapać. Za nagłe odmiany losu na gorsze przepraszamy wszystkich, którzy źle nam życzą. Jediną radą, jakiej ośmielamy się udzielić ofiarom podobnych ataków lub opętania, to: **bądź letni!** (jeśli nie stoi to w sprzeczności z zasadami religii, jaką aktualnie wyznajesz). **Palenie niniejszego manifestu na stosie** nie pogorszy stanu choroby tylko w przypadku, gdy będzie temu towarzyszyć beznamietność zawodowa kata.

Na szerzący się **terror ignoranta** i powszechny brak respektu wobec bogów naturalnych odpowiadamy stworzeniem Nowego Boga, którego właściwości pozwolą używać go zgodnie z wolą Komitetu Centralnego PSNB. Będziemy reagować zwłaszcza na wszelkie naruszenia sfery sacrum, jeśli tylko stwierdzimy, że działania takie są prowadzone celowo i świadomie. Istnienie odbytu Nowego Boga nie jest tajemnicą, a pierwsze próby kierowania jego **emocji merdalnych** ku konkretnym osobom zakończyły się pomyślnie [fragment w opracowywaniu - (przyp. Ins.Heg.Czł.)].

W Paryżu pomrocność duchowa osiągnęła współczynnik godziny północnej. Że jest aż tak bardzo źle, wpadliśmy na to przypadkiem, gdy jeden z naszych proroków kopnął w dupę na placu Pigalle nachalną uszminkowaną istotę z wąsami, acz z biustem, a ta uciekła jęcząc: mon sacrum!! mon sacrum!! Będący z nami na spacerze nasz pierwszy sekretarz zrugął proroka, mówiąc, że mógł to być kaleki egzemplarz androgyna, który poczuł ból duszy, ale encyklopedia Larousse'a rozwiła tę nadzieję. Pod hasłem **sacrum** przeczytaliśmy, że jest to resztką kości ogonowej człowieka, zaś **androgyn** to noworodek o niemożliwej do ustalenia płci. Być może do stworzenia tej drugiej definicji posłużył autorom ten sam osobnik, któremu tymczasem urosły wąsy, ale tak czy siak coś [fragment w opracowywaniu - (przyp. Ins.Heg.Czł.)].

Paragraf 8.

Dziś wchodzi na ekrany polski film "Stara baśń". Europa dowie się przy tej okazji, że Polacy mieli kiedyś swego własnego boga, Światowida. Ale myliłby się każdy, kto by myślał, że nie ma już wyznawców Światowida. Pośród członków naszej partii istnieją także i oni. **Pozostań w religii, jaką wyznajesz**, pozwalamy na to wszystkim naszym prorokom. W szeregach PSNB mamy nawet wyznawczynię Zeusa, twierdzącą, że i jej modlitwy w intencji Nowego Boga odnoszą skutek. Ze śmiercią starych bogów sprawa nie jest tak prosta, jak się wydaje statystycznemu ateście. Nasi znawcy przedmiotu nauczają, że bogowie żyją jeszcze bardzo długo po śmierci ostatnich swych wyznawców. Światowid ma wielkie szanse na powrót na ołtarze,

byłoby to dla nas tym radośniejsze, że chcemy wykorzystać niektóre właściwości tego boga przy konstrukcji naszego stworzenia. Np. jego widzenie wszędzie tam, gdzie znajdują się jego rozliczne oczy: będą to oczy członków PSNB. Ponieważ zamierzamy zatrudnić także uszy naszych członków, Nowego Boga nazywamy niekiedy również Światosłyszem. Długoręcy, Szerokoplecy, Psiwęż, Pałacarz dopełniają listy jego obecnych nazw własnych. Ta ostatnia wywodzi się od sensu słowa *palais*, które dla Francuza oznacza **pałac** i jednocześnie **podniebienie** (cóż za przepiękny skrót myślowy tego supersmakosza rodzaju ludzkiego!), a w kręgu proroków Instytutu Hegemonii Człowieka służy podczas rytuału wspólnego picia wina i dzielenia się ślimakiem.

Paragraf 9.

Oczywiście chodzi o **praktyczne** rozwiązanie problemu urzeczywistnienia powszechnego ludzkiego szczęścia w ziemskim życiu.

W tym miejscu beztraska młodzież zapyta, czy poważna nauka nie może się zająć czymś poważnym, zamiast zadawać tak głupie pytania jak to, czy ziemskie szczęście mas ludzkich jest "pożądane" i "możliwe do zrealizowania". To przecież jest **oczywiste**, stwierdzi. Mimo to, sprawa nie jest tak prosta, jak mógłby sądzić radosny, pełen energii i entuzjazmu młody człowiek. Około 1930 roku w decyzyjnych centrach tworzenia opinii publicznej wcale nie uważano za oczywiste, że masy ludzkie pragną osiągnąć szczęście w ziemskim życiu, a jego brak nikogo nie dziwił. Nie istniała wówczas ani jedna organizacja polityczna, która podjęłaby tak "banalne i osobiste", "nienaukowe" i "apolityczne" kwestie.

A tymczasem rozwój społecznych zdarzeń w latach trzydziestych, wprost zmuszał do zajęcia się **tą właśnie** sprawą. To faszyzm, który niczym fale przyływu zalał Niemcy. Wszyscy byli zdziwieni, jak coś takiego mogło się przydarzyć. Ekonomiści, socjologowie, politycy kultury i reformatorzy, dyplomaci i mężowie stanu, wszyscy próbowali znaleźć odpowiedź w starych księgach. Ale tam jej nie było. Ani jeden schemat polityczny nie pasował do tego wybuchu irracjonalnych ludzkich afektów, jakim był faszyzm. Nigdy przedtem nie przyglądano się polityce z takim sceptycyzmem dostrzegając i w niej irracjonalny twór (2).

Paragraf 10.

Ptaki są potomkami gadów latających. W czasach, gdy zimnokrwiste wymierały (z przyczyn tak bałamutnie dziś interpretowanych), na terenie dzisiejszej Europy żyła odmiana gadoidów, której rolę można porównać do roli humanoida wśród ssaków: trwająca krótko jak na ery geologiczne ekspansja samoświadomości uczyniła je władcami naszej planety i na kilkanaście tysięcy lat usadowiła na tronie pana wszelkiego stworzenia. Przodkom ptaków udało się to, co przed milionami lat wcześniej udało się także mrówkom, termitom i pszczołom: opanowały genetykę, ale wzrastające tendencje komunistyczno-faszystowskie ich społeczeństw doprowadziły do stagnacji, a w konsekwencji degeneracji. (Np. z najwyższego poziomu nauk matematycznych, jaki na ziemi dotąd osiągnięto, pszczołom została w zbiorowej pamięci tylko informacja o wymiarach komórki plastra miodu). Rasy praptaków walczyły ze sobą o prymat na lądzie, morzu i w powietrzu, lecz bratobójcze wojny i im nie przyniosły zjednoczenia. Wzajemna nienawiść niektórych pozostała do dziś i tak np. trudno by obecnie zobaczyć siedzących na tej samej gałęzi słowika i wronę, prawdziwych ofiar pomieszania języków.

Ciekawa jest historia cywilizacji bocianów. Prabočki były bodaj największym hegemonem gadów, a ich wielopiętrowe gniazda wielkości miast budowano z

kamieni szlachetnych, specjalnie rzeźbionych na kształt chrustu. Odkrywkowe kopalnie opalu w Australii są w rzeczywistości ruinami cudów architektury tego myślącego drapieżnika. Władczy klekot prabočka rozlegał się zresztą na całym prakontynencie, o czym świadczą dzisiejsze kopalnie złota i srebra, będące w istocie roztopionymi w temperaturze nuklearnej resztkami ich potężnych maszyn. Wspólne wycieczki na wczasy były charakterystycznym wyróżnikiem ich kultu podróży, który stał się ich główną religią, a wprowadzony obowiązkowo do podświadomości społeczeństwa imperatyw lotu do ziem świętych, doprowadzał populację do gigantycznych ekstaz na skalę planetarną. Współczesny nam krokodyl afrykański jest potomkiem zwierzęcia ofiarnego, jakie zabijano masowo na ołtarzach podczas tych pielgrzymek. Ze względu na twardość pancerza, stojący na jednej nodze kapłan uśmiercał ofiarę za pomocą pistoletu na malutkie bombki atomowe.

Powody zbiorowego oblędu, zakończonego totalnym chaosem, nie zostały dotąd dostatecznie wyjaśnione. Żabojadom może nie w smak będzie to, co powiemy teraz: otóż za główną przyczynę upadku uważa się przekleństwo, jakie na prabočki rzuciły inne religie gadoidów. Proroctwo głosiło, że gatunek, który będzie zjadał żaby, zostanie przeklęty na wieki. ŻABA BYŁA SYMBOLEM MIŁOŚCI DO BRACI W ROZUMIE, a spośród ówczesnych mieszkańców planety tylko ona zdawała się myśleć. Traktowana zrazu trochę jak dzisiejszy szczur, dała się ostatecznie oswoić i odtąd występowała w roli psa. Odkryte w tych dniach w Japonii czarne żaby wydające odgłosy szczekania potwierdzają, że w pamięci tego gatunku utrwaliła się także ta ich sympatyczna umiejętność (wg: "Teleexpress" z 6 X br.). Trzymana na smyczy lub skacząca przy nodze żaba była w dalekiej przeszłości nieodłączną towarzyszką lądowych momentów życia orła, kondora itp. Konkursy piękności żab oraz ich zbiorowe kumkania umilały codzienność plebsu wszystkich ras praptaków. Niestety, to mistyczne ostrzeżenie nie zostało poważnie potraktowane tylko przez prabočki.

Szczególne okrucieństwo, jakim odznaczała się ta rasa, polegało na więzieniu samic tych zwierzątek w słojach o bardzo wydłużonych szyjkach, podobnych do obecnych butelek. Do wypełnionego odpowiednio sfermentowaną zalewką naczynia wpuszczano świeżo zapłodnioną kijankę, której dopiero co odpadł ogon, gdzie karmiono ją aż do uzyskania rozmiarów jadalnych. Wówczas swym wydłużonym organem szczękowym prabociek sięgał do wnętrza słoja i przebijał jej czaszkę, wysysając mózdzek. Samą zalewkę wypijano w większym gronie, zakąszając urodzonymi w butelce żywymi embrionami żabek, w postaci skrzeku z cytryną *la fruits de mer*. Jest w tym zapewne jakieś fatum, że te zdegenerowane obyczaje praktykowano zwłaszcza na terenie dzisiejszej Polski.

Ubolewać jednak należy, że ową geograficzną koincydencję wykorzystano ostatnio do kpiny z czystego imienia narodu polskiego. Wśród polonii francuskiej pojawiło się niesmaczne quasi-proroctwo, jakoby Polacy staną się "bocianem Europy". Nieznani dowcipnisie posłużyli się nawet tekstami wieszczów narodowych, którzy czcili boćka jako ptaka świętego ("**Do kraju tego, gdzie winą jest dużą popsować gniazdo na gruszy bocianie, bo wszystkim służą, tęskno mi, Panie**" - Norwid, "Moja piosenka"), jak też tekstami współczesnymi ("**A na moim dachu gniazdo znów ożyło, do domu bociany wróciły**" - Kayah), zaś desantowo-powietrzną misję polskich wojsk w Iraku wyśmiano jako "czkawkę gadziego ducha". Krążący w fotokopiach paszkwil zdobił obrazek bociana w koronie, jakoby godła przyszłej Europy. Jeśli autorami tej szmiry są nasi bracia w rozumie znad Sekwany, to należy im pogratulować, że dostrzegli chociaż źdźbło w oku Polaka, bo na zobaczenie przez nich, gdzie jest belka, nie ma już chyba żadnej nadziei.

Tymczasem niektórzy mistycy ornitologii Instytutu Hegemonii Człowieka twierdzą, że wśród bocianów zachowało się wielu osobników znających magię jeszcze z czasów, gdy ich przodkowie dzierżyli ster świata. Sukcesorzy gadzich czarów umieją np. zakrzywiać czasoprzestrzeń wokół siebie i występować pod dowolną postacią. Ciż nie odlatują na zimę do Afryki, lecz przyjmują kształty ludzi i jadą do Paryża, gdzie najczęściej osiedlają się na stałe. Obecnie większość Paryżan to w rzeczywistości kryptobocia. A żab ci tutaj w marketach dostatek.

Wyżej wzmiankowani mistycy ornitologii ostrzegają niniejszym, że taki utajony potomek gadów potrafi z premedytacją wyssać także mózdzek samicy człowieka, jeśli tylko wyczuje w niej zjedzoną choćby raz w życiu żabę.

Paragraf 11.

Jeden z naszych proroków był w młodości miotlarzem. Żył naówczas w górach Karpat, nad brzegiem rzeki San, w siole Krywe, pow. Lesko. Osada składała się z dwóch drewnianych domów i ogromnej szopy bez ścian, w której latem nocowały krowy, przypędzane tu na wypas z okolic pozbawionych traw, zaś zimą trzymano tam siano dla okolicznych żubrów i jeleni, podkarmianych na rozkaz władz partii komunistycznej. Zimą temperatura spadała nawet poniżej minus 30C. Codziennie, gdy zachodziło słońce, na pobliskim wzgórzu zwanym Wołkowyja zaczynały modlić się zbiorowo wilki, setki wilków błagających żarliwie swego boga, aby nie karał ich życiem pośród nocy. A kiedy wschodził księżyc, wilki wpadały w jeszcze większą rozpacz, biorąc księżyc za słońce i lamentując, że już zawsze będzie ono tak upiornie blade. Miotlarz rozumiał ich język, ale nie przyznawał się do tego, aby przez mieszkańców sioła nie zostać posądzonym o świrstwo. Wraz z nim mieszkało w Krywem kilku innych miotlarzy, których głównym zajęciem po pracy było picie bimbrowy, zakładanie wnyków i kopanie w ruinach cerkwi, gdzie według legendy zostały ukryte dzwony, gdy wieś wysiedlano pod muszką kałasznikowa trzydzieści siedem lat wcześniej, licząc od relacjonowanych tu miejsco-momentów.

Dzieła swoje tworzyli miotlarze z witek brzożowych. Tzw. **drapaczki z Krywego** miały bodaj najlepszą renomę w Układzie Warszawskim, a ich twórcom żyło się dostatnio i nie narzekali na los. Skręcali je drutem przy pomocy prostego urządzenia własnej konstrukcji, złożonego z metalowego kółka i linki hamulcowej zdezelowanego motocykla. Witki nie mogły posiadać liści, praca musiała być wykonywana zimą. Trzeba było wstać o świcie, ubrać kożuch, opasać się konopnym powrozem, wsadzić zań siekierę i wyruszyć przez zawiąną śniegiem dolinę ku ostępom brzożowym, w celu uzyskania surowca. Ściętą siekierą brzożę należało następnie okrzesać z tych gałęzi, które nadawały się do dalszej obróbki. Starannie wyselekcjonowane stopy witek miotlarze krępowali powrozami, zarzucali je sobie na plecy i udawali się w drogę powrotną. Operacja zajmowała cały dzień i była wstępem do dalszych etapów ich trudnej walki o byt. Przyniesione do pracowni, będącej jednocześnie pomieszkaniem miotlarzy, witki przemieniały się niebawem w ich rękach w przepiękne narzędzia służące do zamiatania dalekich kopalń węgla bądź hal hut stali itp. Wpierw jednak trzeba było stworzone majstersztyki przetransportować na plecach na drugą stronę Sanu, skąd zabierał je samochód wciąż nie nasyconego kontrahenta. Nasz prorok *in spe* byłby tworzył rzeczony drapaczki zapewne aż do upadku komuny, gdyby nie następujące wydarzenie, które nagle odmieniło jego los.

Onego roku brzoży straciły listowie już pod koniec września, a pierwsza partia towaru była gotowa do rzucenia na rynek jeszcze przed połową października. Noc poprzedzającą wyprawę za San miotlarze spędzili na picu bimbrowy i zakąszaniu żubrem z rusztu. Śnieg spadł po północy, gdy wszyscy już posnęli snem

szczęśliwego kłusownika. O świcie okazało się, że przyjdzie brnąć przez metrowej grubości warstwę świeżego puchu. Gęsty śnieg padał ciągle nadal, w straszliwej ciszy bez wiatru, a jego ogromne płatki wielkości obecnej monety 2€ leciały pionowo jak w próżni. Nie znajdując innego wyjścia, miotlarze ruszyli na oślep, nie widząc się z odległości dwóch metrów. Do wiszącego na stalowych linach mostu dla pieszych mieli dwa kilometry, a dalej czekało ich strome podejście na zbocze Otrytu, którym biegła droga bita. Po dwóch godzinach osiągnęli most, a nasz prorok wszedł nań jako drugi. Zatrzymał się tam, aby odpocząć i zapalić lulkę. Śnieg zelżał nieco, a z pokładu mostu dało się widzieć zarysy doliny Sanu do najbliższego zakrętu.

Oparłszy swój zgrzebny wór pełen drapaczek o balustradę mostu, prorok nasz grzebał w kożuchu w poszukiwaniu krzesiwek, gdy nagle całą jego uwagę zajął obraz absurdu natury. Oto pomiędzy białymi płatkami śniegu padał drugi śnieg: szary i o mniejszych płatkach, lecący po przekątnej w stosunku do białego. Miliardy szarych płatków leciały poziomo w kierunku biegu rzeki, przecinając drogi swych białych braci, nieustannie i uporczywie, jakby dwa sprzeczne wszechświaty zderzyły się w mózgu schizofrenika. W dodatku całą okolicę zdawał się przepelniać jakiś uroczysty szmer niezwykle delikatnego brzęku, jakby niezliczone legiony skrzydlatych plemników aniola nieznannej religii odbywały próbę przed odlotem na łono anielicy. Trwało to chwilę, ale nasz prorok twierdzi, że chwila ta zmierzona od jej środka mogłaby trwać i wiek. Nie dziwi nas tedy, iż gdy oglądał on to, co oglądał, jego wór pełen drapaczek gibnął mu się przez balustradę i ciężarnie plasnął o powierzchnię rzeki. W tym momencie jego współtowarzysz miotlarz, którego imię było Zagrodnik, złapał go za poję kożucha i zapytał:

- Co ty, kurwa, robisz!?

Tedy nasz prorok pokazał mu szary śnieg, a współtowarzyszowi temu też w tej chwili gibnął się wór z drapaczkami. I oto wówczas obaj miotlarze znieruchomieli przed sobą na środku mostu, a ich oczy połączyła tęcza porozumienia. Te szare płatki to były komary. Zaskoczone nagłą zimą. Usiłujące doliną rzeki uciec ku szczęśliwym wyspom. Miliardowe armie latających współtowarzyszy, **mnogie rzesze małych rozumków**, które połączył wspólny pomysł lotu w tym jednym, jednym zbawiennym kierunku. Najpierw ku morzu bałtyckiemu: oddalonemu o tysiąc kilometrów. A potem: jeszcze dalej. Logika pomysłu była jasna. Ale przecież nie miały na to zbyt wielkich szans. Ale przecież tylko w to wierzyły. Niektóre dopadał płatek śniegu i pociągał w straszną przepaść podmościa. Ale przecież innym udawało się wyrwać z białych szponów śmierci i leciały dalej.

Struchlały i zdesperowany miotlarz poprosił swego współtowarzysza o szklankę, którą ów zawsze z sobą nosił. Zagrodnik, zrozumiawszy prośbę po swojemu, podał mu ją napełnioną bimbrem. Nasz prorok miał mglistą świadomość, że popełnia jakieś przestępstwo, ale wypił, bo **chciał mieć szklankę pustą**. Następnie zrzucił z siebie kożuch, podwinął lewy rękaw koszuli, szklanką zaczerpnął powietrza wraz z przelatującym komarem i przytknął ją do obnażonej skóry dnem do góry. Pragnął przynajmniej jeden egzemplarz komarzego gatunku nagrodzić za ich wielką wiarę swoją własną krwią, dodać mu sił na dalszą drogę. Ciągące się potem za jego osobą pomówienie, jakoby spełniał na moście toast za **koniec świata komarów**, oraz że **rozpijał komary lecące na swój sąd ostateczny**, jest zwykłą kpiną o posmaku świętokradczym. Nakarmiony komar upił się krwią zmieszaną z bimbrem i zamiast lecieć dalej, usnął już pod kloszem szklanki, skąd trzeba go było przenieść do pudełka po krzesiwkach, gdzie niestety wkrótce i tak wyzionął ducha.

Tymczasem na most wszedł następny współtowarzysz miotlarz, zwany Hanysem, jeden z owych słynnych bieszczadzskich Siedmiu Dziadów, a gdy zobaczył szary

śnieg i **tankowanie komara**, on także zapomniał, że wsparł wór na krawędzi balustrady, tedy i ten wór się gibnął. I zaraz za nim nadszedł miotlarz Świdzki, późniejszy burmistrz miasta Kocka, któremu też wór się gibnął. A na końcu nadszedł miotlarz Mietek Srebrna Szczęka i jemu też na koniec gibnął się wór z drapaczkami. I tak wszystkie wory z drapaczkami gibnęły się tego dnia wszystkim współtowarzyszom miotlarzom i pochłonęła je woda Sanu.

Od tego dnia nasz prorok przestał tworzyć drapaczki. Postanowił zrozumieć życie komarów i pojechał w świat na nauki. Odwiedził wiele krajów i miast, aż po wielu latach dowiedział się o istnieniu Instytutu Hegemonii Człowieka. Wówczas oddał się nam w całości, a swe życie poświęcił współtworzeniu Nowego Boga.

Ponieważ o podobnym rozumie złożonym z małych rozumków wiedzieliśmy dotąd tylko z powieści science fiction Stanisława Lema "Niezwyciężony", tereny jego przejawu na Ziemi na tak gigantyczną skalę, jeśli idzie o ilość egzemplarzy tej samej populacji, uznaliśmy za dobry znak, aby właśnie tam umiejscowić nasze centrum opanowywania technologii reinkarnacji.

Paragraf 12.

Drogi Europejczyku! Dziękujemy za miły list! Piszesz, że odwiedziłeś nas na internetowej stronie www.czarnadziura.art.pl, dlatego od razu wyjaśniamy zaistniałe nieporozumienie: to nie jest adres naszej partii! Na końcu czytanej przez Ciebie manifestu znajdziesz nasze aktualne zamiary, tam też przedstawiamy tak bardzo interesujące Cię warunki przyjęcia w szeregi proroków Instytutu Hegemonii Człowieka. Natomiast w/w strona jest prywatną działką jednego z członków PSNB, Romana Y. Kukury, który w hierarchii naszej partii zajmuje wprawdzie wysoką funkcję **kronikarza**, niemniej ostrzegamy, iż nie wszystkie zamieszczone tam teksty są odzwierciedleniem naszych oficjalnych poglądów, a niektóre chyba zbyt beztrudno odsyłają czytelnika w regiony rozrywki typu science fiction. Jakkolwiek większość pism tego proroka spełnia rolę dokumentów PSNB, to za takowy na pewno nie można uznać powieści "Czarna Dziura", której fragmenty przeczytałeś w sieci Web. Pierwszy sekretarz naszej partii, Adam Pstrąg, który jest przecież jednym z głównych bohaterów "Czarnej Dziury", charakteryzuje się prostodusznością i poczuciem humoru, co niewątpliwie tłumaczy istnienie tylu temu podobnych utworów pośród przypisów [fragment w opracowywaniu - (przyp. Ins.Heg.Czł.)] do niniejszej wersji manifestu, jednak mamy nadzieję, że w przyszłości powstaną solidniejsze prace, dokumentujące naszą historię. Iżby nie być gołosłownym, pozwolimy sobie zacytować słowa Adama Pstrąga, na temat w/w powieści. *"Owszem, moi przodkowie wywodzą się ze Lwowa! Owszem, w moich żyłach płynie krew polska, ukraińska, żydowska i inkaska! Prawdą jest także to, że urodziłem się nad Amazonką! Ale dlaczego autor ukrył, gdzie **eksperyment Krywe** odbył się naprawdę? Po co przenosił akcję do Brazylii? Jeśli ten człowiek jest włazidupkiem, to naprawdę nie ja jestem tym, kto tu doznał przyjemności!"* (Domyślamy się, że autor przerwał pracę nad utworem pod wpływem powyższej kpiny). Aby temat rzeczony strony zakończyć, informujemy, iż jedynym miarodajnym źródłem informacji o nas jest jej część "Czarna Czhidra". Ewentualnym internautom wyjaśniamy, że "Czarna Czhidra" jest to nasz dawny organ prasowy, wyeksponowany w przestrzeni Web z przyczyn jawnie autoreklamowych: numer ten w całości był poświęcony twórczości artystycznej naszego kronikarza, jak też komentarzom do niej, a czasopismo wydano w roku jego zaprzysiężenia w poczet proroków Instytutu Hegemonii Człowieka (w nakładzie tzw. rytualnym: 1 egzemplarz). Gdy znany polski klub "Les Artistes" w Paryżu, w którym nasza partia miała wówczas swą siedzibę, likwidowano, numer zniknął z ozdobnej

gabloty, gdzie go przechowywano i odnalazł się dopiero pół roku później na budowie pewnego polskiego patrona w miejscowości Omerville, pięćdziesiąt dwa kilometry w kierunku na Rouen. **Ślady rozczytywania się** w "Czurnej Czhidrze" podczas brudnych prac budowlanych widać na okładce i wewnątrz pisma, co zapewne miało być w intencji autora strony elementem przyciągającym, ale według nas zdecydowanie od nas odstrasza. Krótko mówiąc: tylko te teksty, które noszą adnotację **dozwala się** i podpis pierwszego sekretarza KC, **Adama Pstrąga**, uważamy za jedyne oficjalne źródło wiedzy na nasz temat.

Paragraf 13.

A sztandar nasz jest tęczy. Nie ukrywamy, że **barwy inkaskie** (3) są rodzajem pożyczki duchowej, jaką zaciągamy u tego narodu w imię naszego szczytnego celu. Kontynuujemy w ten sposób ich tradycję walki o wyzwolenie spod jarzma konkwistadorów, jaką podjął Tupac Amaru II, książę Inków, przywódca powstania swego ludu przeciw hiszpańskim najeźdźcom. Jego rewolucja tylko pozornie została przegrana. Skądinąd wiemy (a skąd, tego nienawistnikom nie powiemy), że tylko pod tęczowym sztandarem czeka nas zwycięstwo.

Kto w to nie wierzy, niech go zeżre wesz **zarazy emocjonalnej!** Niech nadal idzie na smyczy polityka w masce anioła! Niech się nadstawia jebaczom mózgow: muzykom **bum-bum**, pisarzom **ple-ple**, malarzom **pac-pac**, filmowcom **pif-paf!** Niech zapadnie na przewidzianą przez polskiego proroka, Stanisława Ignacego Witkiewicza, najstraszliwszą chorobę wszechczasów, której na imię **kurduplizm duchowy!** Niech nadal chłepcze pomyje historii w zbiorowym korycie telewizji!

W rzeczywistości książę-buntownik nazywał się Jose Gabriel Condorcanqui, a tęczy inkaski sztandar oraz przyjęcie imion świętego w 1572 r. Tupaca Amaru (ostatniego reprezentanta dynastii Inca) posłużyły po dwóch wiekach do integracji militarnej narodu. Rebelia zakończyła się najkrwawszym pogromem w historii Inków, licząc od mitycznego założyciela państwa, Manco Capaca. Rodzinę "tęczowego bohatera" konkwistadorzy wycięli niemal w pień.

Nielicznej grupie ocalałych z rzezi współpracowników i krewnych Condorcanquiego udało się jednak zbiec poza granice ówczesnego wicekrólestwa Nowej Kastylii (Peru), unosząc z sobą pokaźną część złota Inków. Wśród uciekinierów znajdowała się inkaska księżniczka o imieniu Uma, jej mąż i ich kilkumiesięczny syn Antonio. W żyłach Umy płynęła w połowie krew polska, była bowiem córką Sebastiana z rodu Berzewiczów, obieżyświata i łowcy przygód, który po swych barwnych włóczęgach doznał *coup de foudre* na widok indiańskiej arystokratki, a następnie poprosił ją o rękę i legalnie uczynił brzemienią.

Dalsze losy zbiegów i skarbu znane są obecnie dzięki wieloletnim badaniom reportera i pisarza, Aleksandra Rowińskiego, przedstawionym w książce "Pod kłątą kapłanów". Pierwszy etap ucieczki prowadził drogą morską do Włoch. Z jednego spośród zachowanych do dziś w archiwach Wenecji tysięcy meldunków tajnych konfidentów sprzed dwustu kilkudziesięciu lat wynika, że o transport kłopotał się osobiście ojciec księżniczki. *Polak Berzewiczy z ludźmi byli na Burano i tam dostali statek* - czytamy w katalogu hiszpańskich kapusiów pod pozycją 642. Inny dowód pisany zaświadcza, że na terenie Europy pościg trwał jednak nadal: w Wenecji zostaje zamordowany mąż Umy. Stąd dalsza ucieczka i staranne zacieranie za sobą śladów. Kierując się na Orawę i Spisz tropiona grupa Inków dotarła wkrótce do Tropsztyna koło Niedzicy. Złoto zostało szczęśliwie ukryte "gdzieś nad Dunajcem".

Odnaleziony w mszale spoczywającym w krakowskim kościele Świętego Krzyża tzw. "testament Inków" nie precyzuje tego miejsca.

Lecz konkwistadorzy mają długie ręce i już w Niedzicy mordują także księżniczkę Umę. Pozostali Indianie "rozpływają się we mgle", udając prawdopodobnie miejscowych Cyganów. Natomiast najmłodszy z nich, Antonio, zostaje adoptowany przez krewnych Sebastiana Berzewiczego i wywieziony ukradkiem do Krumlova na Morawach. Odtąd aż do śmierci w 1877 r. nazywa się Wacław Antoni Benesz. Pod koniec życia przekazuje swemu najstarszemu synowi, Ernestowi, dokumenty i pamiątki rodzinne, nakazując mu *nigdy do tej sprawy nie wracać*.

W 1946 r. wnuk Ernesta, Andrzej Benesz, w asyście żołnierzy WOP, wykopuje spod stopni pierwszej bramy górnego zamku w Niedzicy (ukryty tam w 1797 r. przez przybranego ojca Antonia) testament i tubę z indiańskim pismem węzełkowym *kipu*. Przez całą resztę swego życia człowiek ten usiłuje rozwikłać zagadkę inkaskiego skarbu. W 1976 r. umiera tragicznie w katastrofie samochodowej.

Obecny właściciel zamku w Tropsztynie, znany przedsiębiorca, p. Andrzej Witkowicz, świadomy, że trzej radiesteci - nie znając się wzajemnie i działając w różnych czasach - potwierdzili istnienie na jego włościach "czegoś w rodzaju złota" i naszkicowali identyczny układ korytarzy, które doń prowadzą, nakazał zabetonować na trwałe wszystkie wejścia do podziemi. W rozmowie z Aleksandrem Rowińskim powiedział: *Nie jest mi to potrzebne do szczęścia. Nie będę też ukrywał, że swoje postanowienie podjąłem, biorąc pod uwagę klątwę ciążyącą nad tymi skarbami i jej skutki*.

Autor "Pod klątwą kapłanów » dodaje od siebie: *Czy to nie bóg Wirakocza pomógł Anglikom w roku 1702 zatopić największy konwój hiszpańskiej floty pod Vigo, razem ze złotem zagarniętym Indianom?... Badacze dziejów, wojskowości, ekonomii, polityki mają wiele odpowiedzi na pytania, dlaczego wspaniała Hiszpania, od początków XVI wieku przez dwa stulecia jedno z najsilniejszych państw na świecie, zaczęła tracić na znaczeniu, rozpadać się, aż zeszła do żałośnie nędznego w Europie położenia. Niechaj wolno będzie nad tą kwestią - wśród innych - zawiesić też pytanie, czy aby nie spadła na nią kara za zagrabiane ludom andyjskim skarby, które zostały przeklęte. W domyśle pozostaje imperatyw, który o tym przesądził. Omija go chyłkiem nauka pisana przez duże N, po cichu tylko przekazują go między sobą badacze dziejów, otwarcie - choć wśród wtajemniczonych - przyznają ludzie zgłębiający zjawiska niemierzalne ludzkim rozumem i żadną aparaturą. Rabowane skarby tych ziem kapłani i czarownicy zakazili klątwami. Nikomu i nigdy nie dadzą one radości. Ci kapłani-czarownicy potrafili wytwarzać trucizny, które zabijały natychmiast, ale także za kilka dni, kilka tygodni i kilka miesięcy. Oni umieli nie nazwaną siłą poruszać skałami. Oni władali mocą, dzięki której oddając się rozpływali się we mgle i powracali, wychodząc z morza, z powietrza (4).*

Paragraf 14.

„Próchno się sypie z ram okien mej duszy!”

cdn

brulion

Pomiędzy słowem stół a stołem, przy którym [piszemy na] komputerze nasz manifest, rozciąga się skończona przestrzeń wszystkich stołów, które dotąd wyprodukowała ludzkość, będzie ich już zapewne wiele miliardów. Nie ma w tym zbiorze ani jednego stołu, który został wymyślony na papierze albo w słowach mówionych, a który nigdy nie miał postaci rzeczywistej. Jeśliby pisarz napisał "na stole stał laptop, a oszalały stwórcy bębnił po klawiszach z oczami płonącymi jak żyrafa" etc., a w rzeczywistości stół ten istniał tylko w jego fantazji, to nie znajdzie się on w przestrzeni naszych stołów. Fikcja nie bierze udziału w naszym przedsięwzięciu, a rzeczywistość sensów słów nie ogranicza naszych dokonań w rzeczywistości pozasłownej. Energia emocji płynącej ku nam od wszystkich miłośników i nienawistników jest realna i będzie sukcesywnie wyłapywana i przeklepywana w aktualnie potrzebne detale stwarzanego Nowego Boga. Klepanie psychiki będzie w ogóle głównym zajęciem człowieka III tysiąclecia. Nieprzypadkowo nazwisk pochodzących od kowala jest w Polsce najwięcej. Za dobra wróżbę uznajemy też fakt, że manifest naszej partii zgodził się opublikować wydawca o podobnej nazwie swego rodu.

12. Drogi Europejczyku, pytasz, dlaczego pozdrawiamy się zawsze tym oto zdaniem (albo jego częścią): **Próchno się sypie z ram okien mej duszy!** Cóż, nie będziemy ukrywać prawdy, jak zwykle odpowiemy Ci szczerze. Po pierwsze: prorocy Instytutu Hegemonii Człowieka pozdrawiają się tak tylko pomiędzy obcymi. (W praktyce jeden z nich wypowiada

12. Europejczyku, próchno się sypie z ram okien twej duszy! Pod tym oknem właśnie przechodzimy z naszym sztandarem, a kolor jego jest tęczy! Nuże, oderwij swój piękny uśmiech od zbiorowego koryta telewizji, nie chłęcz tych pomyj! O, nareszcie! Zrozumiałeś, że jesteś otoczony! Pytasz, kim jesteśmy, dziwni błażni w różowych durszłakach? Jesteśmy buntownikami! Tępimy wszy zarazy emocjonalnej! No, nie drzyj tak! Iskamy tylko sumienia jebaczy mózgow współczesnych! Och, wybacz grube słowa! Podczas rewolucji to dozwolone!

7. Według naszych badaczy Leśmian mógł znać nawet pojęcie **śnika**, atomu snu, którego rozbicie doprowadzi w przyszłości do uchwycenia fundamentów bytu, w ogromnej swej części tkwiących substancjalnie właśnie we śnie. Naszym mistykom udało się dotąd tylko zajrzeć do wnętrza jednego ze śników, w którym zobaczyliśmy wzmiankowany wyżej pomnik, co stało się inspiracją do ogłoszenia konkursu.

dotąd dotąd dotąd dotąd

7. Ponieważ nauka współczesna nie znalazła jeszcze odpowiedzi na pytanie, kto patrzy przez oczy człowieka, niech

+ **Za dobrą wróżbę uznajemy fakt, że manifest naszej partii jako pierwszy odważył się opublikować wydawca o podobnej nazwie swego rodu. (przyp. aut.)**

ludzkości,

Tworzenie bogów jest obowiązkiem

a także jej najświętszym prawem.

dodać:
pany
sposoby komunikacji
hierarchia
składki
piramida
opanowywanie technologii reinkarnacji

2003]

[przypisy do manifestu]

(1): Tekst niniejszy jest historycznie pierwszą zapisaną wersją manifestu Partii Stworzycieli Nowego Boga i jako taki należy do naszych wyjątkowo ulubionych pamiątek. Nie udało się ustalić autorstwa poszczególnych paragrafów [jakkolwiek zwyczajowo mówi się, że był nim Baydała Oszczecirski, który de facto był głównym animatorem przedsięwzięcia], skądinąd wiadomo jednak, że autorem paragrafu 9 jest Adam Pstrąg, zaś paragrafu 10 nasz obecny rzecznik prasowy, czyli ja.

(2):

Adam Pstrąg

ZAMIAST WSTĘPU

Autorzy manifestu poprosili mnie o napisanie jednego z jego rozdziałów, aby następnie włączyć go do całości. Zgodziłem się i dostarczyłem im tekst, który tworzy obecny Paragraf 9. Ciąg dalszy tekstu przedstawiam poniżej (z powodów, które wyjaśnię):

Odkrycie przez Freuda seksualności dziecięcej i tłumienia seksualnego było ze społecznego punktu widzenia pierwszym krokiem ku uświadomieniu sobie trwającej od tysięcy lat obłudy seksualnej. Ta świadomość pojawiła się początkowo przybrana w akademickie formy i nie ufała własnym odkryciom. Ludzką seksualność należało przenieść z sutereny, gdzie od tysięcy lat wiodła brudny, chory i jątrzący żywot, na „pokoje” wspaniałego domu, który nazywano „kulturą” i „cywilizacją”.

Morderstwa seksualne, nielegalne skrobanki, seksualna agonía młodzieży, zabijanie wszystkiego, co pełne życia w dzieciach, występujące masowo perwersje, pornografia i nieodłączna policja obyczajowa, wykorzystywanie ludzkiej tęsknoty do miłości przez kiczowaty i lubieżny przemysł i reklamę, miliony ludzi chorych psychicznie i fizycznie, osamotnienie i psychiczne kalectwo, wszystko to uzupełnione neurotycznym politykierstwem zbawców ludzkości – czy tak miały wyglądać zdobycze cywilizacji?

Moralne i społeczne potępienie najważniejszych funkcji biologicznych człowieka było domeną nieszczęśliwych seksualnie dam i obumarłych wegetatywnie, arystokratycznych tajnych radców. Stowarzyszenia starych, seksualnie nieszczęśliwych kobiet i wyjałowionych, obumarłych starców nie budziły niczyich zastrzeżeń, jednak nie wolno było pogodzić się z tym, że te obumarłe istoty nie tylko chcą narzucać zdrowym i kwitnącym, pełnym życia ludziom, jak mają postępować, ale rzeczywiście to robią.

Obumarli rozzarowani apelowali do powszechnego seksualnego poczucia winy i powoływali się na *chaos seksualny* i „upadek cywilizacji i kultury”. Masy

ludzkie wiedziały co prawda, o co w tym chodzi, milczały jednak, niepewne, czy ich naturalne odczucia nie są może patologiczne. Starano się im to przecież zawsze wmówić i nigdy nie usłyszeli niczego innego. Dlatego tak owocne były badania Malinowskiego* przeprowadzone na wyspach mórz południowych. Pozbawione otoczki sensacji i lubieżności, z jaką zdeprawowani seksualnie handlarze traktowali kobiety tamtego regionu podniecając się tańcami brzucha, były po prostu poważne i rzeczowe.

Nikt z autorów nie zorientował się, że tekst jest cytatem z książki W. Reicha „Funkcja orgazmu” (Rozdział VII: Nieudana rewolucja biologiczna)**. Z mojej strony był to żart, który jednak bynajmniej nie miał unaocznic naszym prorokom ich ignorancja. Miał on raczej na celu uzmysłowić wszystkim, jak trudno połapać się współczesnemu człowiekowi w zalewie prac, których autorzy „mają rację”. Problem w tym, że racji tych nie wprowadza się w czyn, czego jednakowoż o moich Przyjaciółach z Instytutu Hegemonii Człowieka powiedzieć nie sposób.

Przepraszam także tych PT Czytelników, których mój eksperyment wprowadził w błąd, a przy okazji zapewniam wszystkich o moim najwyższym uznaniu dla dokonań autora cytatu, bez których idea opanowywania technologii reinkarnacji byłaby niewątpliwie o wiele uboższa.

AP

* Bronisław Malinowski (1884-1942) – etnolog, badacz ludów pierwotnych i ich zachowań seksualnych.

**Wilhelm Reich: *Funkcja orgazmu*, Jacek Santorski & Co – Wydawnictwo, przekład: Natasza Szymańska, ISBN 83-85386-69-6

(3): W czasach powstawania tego pierwszego zarysu naszego manifestu tęcza nie była obiektem świadomościowym kojarzonym z ruchem gejowskim. Instytut Hegemonii Człowieka [performance] używa rozszczepionego światła jako własnego rekwizytu, niezależnie od wykorzystywania jego barw przez inne środowiska i centra aksjologiczne.

(4): Aleksander Rowiński « Pod klątwą kapłanów », Wydawnictwo Rój, Warszawa, 1990 r.

Pan Czytaj Powieść

Po francusku monsieur lis le roman znaczy czytaj pan [tę] powieść [rodzajnik le oznacza konkretnie tę powieść], dodałem Pan jako tytuł własny. [Na usprawiedliwienie tego « Pana » dodam jednak, że Francuzi, przedstawiając się komuś, używają na określenie siebie samych tytułu Monsieur].